

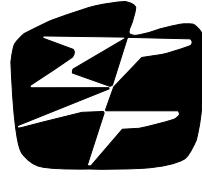
Wybudowana w latach 1968-70 wg. projektu Bolesława Wolskiego, dzięki dotacjom Ministerstwa Kultury w Warszawie, Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego i Konserwatora Wojewódzkiego w Olsztynie, przy ogromnym zaangażowaniu całego ówczesnego środowiska plastycznego. Przekazana Zarządowi Okręgu ZPAP w Olsztynie 22 lipca 1970 roku. Uroczystie otwarta w dniu 13 października 1970 roku.

W 1983 roku, po zdelegalizowaniu ZPAP przez władze stanu wojennego, przekazana pod administrację dyrektora BWA w Olsztynie. Po reaktywowaniu ZPAP, powróciła decyzją Wojewody Olsztyńskiego z dn. 10 marca 1992 roku, we władanie Zarządu Okręgu.

W okresie administrowania galerią przez ZO ZPAP w Olsztynie, pokazano w niej

138 wystaw indywidualnych i zbiorowych, 25 wystaw poplenerowych i 6 wystaw pokonkursowych, prezentując wszystkie dziedziny sztuki i goszcząc autorów nie tylko z naszego okręgu, ale i całej Polski, a także z zagranicy. Tutaj odbywały się imprezy okolicznościowe i promocyjne, w niej środowisko plastyczne organizowało aukcje dzieł sztuki na rzecz potrzebujących, tu miały miejsce spotkania z twórcami różnych dziedzin kultury, koncerty i parateatralne występy.

Otwarcie wystawy 25-cio lecia Plastyki Olsztyńskiej będącej jedną z imprez towarzyszących otwarciu siedziby ZO ZPAP w Olsztynie, 13.10.1970 r.



Numer specjalny!



**Zarząd Okręgu w Olsztynie
Związku Polskich
Artystów Plastyków**
ul. Zamkowa 2a, 10-074 Olsztyn
tel. (0-89) 527 31 77

Kierownik Biura: **Wanda Radziemska**
Biuro czynne:
wtorki i czwartki 9.00 – 13.00

Prezes: **Marek Kłos**
tel. (0-89) 535 07 23
e-mail: mmstudio@artmm.com.pl
http://www.artmm.com.pl

Wiceprezes: **Maja Baranowska**
tel. (0-89) 542 77 14

Sekretarz: **Bogdan Żukowski**
tel. (0-89) 625 30 57

Skarbnik i redakcja Biuletynu:
Adam Kurlowicz
tel. (0-89) 526 02 04
e-mail: jadesign@rubikon.pl

Sprawy artystyczne i prowadzenie Galerii:
Eugeniusz Kwiatkowski
tel. (0-89) 527 72 52
Piotr Dondajewski
tel. (0-89) 741 40 21


Kontakt z mediami: **Piotr Obarek**
tel. (0-89) 534 99 69

Galeria ZPAP
czynna w godzinach pracy Biura oraz
piątki, soboty i niedziele 12.00 – 16.00
Obsługa Galerii:
Paulina Jurjewicz

Sklep „Joko-Art“
ul. 1 Maja, 10-118 Olsztyn
tel. (0-89) 527 51 43
Sklep czynny:
od poniedziałku do piątku 10.00 - 18.00
w soboty 10.00 - 14.00
Kierownik sklepu:
Jolanta Śmielska-Koszczyk

Składki członkowskie można wpłacać
bezpośrednio w Biurze
lub na konto PBK II O/Olsztyn
nr. 11101385-2974-2700-1-07

Sponsorem numeru jest:



AGENCJA FOTOGRAFICZNO-WYDAWNICZA

REPRODUKUCJE
na materiałach negatywowych
i odwracalnych
do celów poligraficznych
i dokumentacyjnych

POWIĘKSZENIA
do formatu 100 x 130 cm

FOTOGRAFIA STUDYJNA
- katalogowa
- dokumentacyjna
- reklamowa

**PASSE-PARTOUT
DO FOTOGRAFII
I PRAC PLASTYCZNYCH**
w ponad 50 kolorach,
w dowolnych formatach
i kształtach;
na kartonach
angielskiej firmy
SLATER HARRISON L.t.d.

A.E.W. „STUDIO AB” s.c.
A. Anielski & J. Baldyga
10-691 OLSZTYN, UL. PANASA 1
tel./fax (0-89) 541 16 69

30 lat temu, pod pochmurnym październikowym niebem odbyła się przy ulicy Zamkowej 2a chyba najważniejsza w całej dotychczasowej historii olsztyńskiego środowiska plastycznego uroczystość, jaką było otwarcie i oddanie w użytkowanie Związkowi Polskich Artystów Plastyków tzw. „Domu Plastyka”, czyli Galerii, Biura Zarządu Okręgu i sali klubowej.

Odbyło się to bardzo uroczysto 13 października 1970 roku, z udziałem członków ZPAP i licznie zaproszonych oficjalnych gości.

Obecny Zarząd Okręgu postanowił uczcić ten jubileusz i uhonorować pamięć o bezprecedensowym, w skali nie tylko naszego okręgu, ale i całego Związku, zaangażowaniu, z jakim całe ówczesne środowisko plastyczne pracowało na rzecz powstania tej siedziby. Jednym z elementów obchodu jubileuszu otwarcia siedziby ZO ZPAP w Olsztynie jest wydanie właśnie tego specjalnego, podwójnego numeru Biuletynu, który to numer w całości został oddany do dyspozycji głównym bohaterom akcji sprzed 30 lat – tym, którzy włożyli w nią najwięcej wysiłku i serca. Zaproponowaliśmy im, aby nam o tym opowiedzieli.

Zamieszczone w tym numerze wypowiedzi są bardzo subiektywne i nie staraliśmy się tego w żaden sposób ograniczać, nie ingerować w ich klimat czy merytoryczną zawartość, nawet jeżeli dostrzegaliśmy jakąś „faktograficzną” niezgodność, którą można przecież wytłumaczyć upływem czasu, jaki minął od opowiadanych wydarzeń.

Zależało nam na tym, aby zebrać różne punkty widzenia nie tylko na samą akcję budowania naszej siedziby, ale też na okoliczności, które akcję tę poprzedzały, i które zaistniały po niej. Chcieliśmy ten czas przypomnieć, zaprezentować jego złożoność, a także uratować przed zniknięciem z kulturalnego pejzażu naszego regionu tych zdarzeń i faktów, które na ten pejzaż się składały, oraz ludzi, którzy te fakty tworzyli.

Jedynie względy techniczne – ograniczona pojemność Biuletynu – zadecydowały, że nie wszystkie wypowiedzi bohaterów tego numeru mogły się w nim znaleźć – za co przepraszamy. Dbaliśmy jednak o to, aby nic istotnego nie zostało pominięte.

Wielkimi Nieobecnymi w tym numerze są: Barbara Lis-Romańczuk, autorka projektu i fundatorka medalu przygotowanego specjalnie na uroczystość otwarcia siedziby ZPAP, oraz jej mąż, Mieczysław Romańczuk, ówczesny Prezes Zarządu Okręgu, który był w to całe przedsięwzięcie głęboko zaangażowany. Niestety, niezależnie od nas okoliczności uniemożliwiły im uczestnictwo w tym numerze, czego bardzo żałujemy.

Wszystkim, którzy współtworzyli ten numer dziękujemy za zaangażowanie, szczególnie dziękując Pani Wandzie Radziemskiej za cierpliwość, z jaką porządkowała wszystkie fakty odnoszące się mniej czy bardziej bezpośrednio do historii olsztyńskiego okręgu ZPAP w ciągu ostatnich kilkadziesiąt lat – co nie było wcale łatwe, ponieważ tak niewiele związkowych dokumentów przetrwało zawieruchę stanu wojennego.

Dziękujemy też serdecznie Andrzejowi Samulowskiemu, który udostępnił nam unikalne fotografie dokumentujące budowę siedziby ZPAP i uroczystość jej otwarcia – część z tych fotografii ilustruje niniejszy numer Biuletynu.

... jest w Kościele Mariackim w Gdańsku taka cegła w potężnym murze, gdzie niecierpliwy budowniczy zostawił ślad swojego palca za wcześniej wrywając ją z formy. Ślad jast tak wyraźny, że można niemal odtworzyć ruch jego ręki.

Gest zapisany setki lat temu jest do dzisiaj wyraźny i czytelny.

Pozostawiony i odkryty przypadkiem, jak fakt że to już 30 lat minęło od daty przecięcia wstęgi w siedzibie ZPAP jesienią 1970 roku.

Ten „ślad” zostawili nasi koledzy.

Na szczęście po trzydziestu latach większość z nich zastaliśmy w domu. Poprowadzili nas na wędrowkę do dni kiedy „słońce świeciło jaśniej”.

Ta fantastyczna podróż może pozwoli nam pomyśleć o „śladach”, które my zostawiamy po sobie.

Może uświadomi nam potrzebę ciągłej wędrowki „Małego Księcia”?

Od idei do przedmiotu. Od mieć do być.

- *Milionów tych małych rzeczy, które widuje się czasami na niebie.*

- *Pszczół?*

- *Ależ nie. Małych, złotych przedmiocików, które powodują, że leniuchy pogrążają się w marzeniach. Ale ja jestem poważnym człowiekiem. Nie mam czasu na marzenia.*

- *Aha, gwiazd!*

- *O, tak właśnie. Gwiazd.*

- *I cóż takiego robisz z pięciuset milionami gwiazd?*

- *Co z nimi robię?*

- *Tak*

- *Nic. Posiadam je.*

- *Posiadasz gwiazdy?*

- *Tak.*

- *Widziałem już Króla, który...*

- *Królowie nie posiadają. Oni rządzą, a to zupełnie co innego.*

- *A do czego służy ci to posiadanie gwiazd?*

- *To mi służy do osiągnięcia bogactwa.*

- *A co masz z bogactwa?*

- *Mogę kupić więcej gwiazd, o ile ktoś je odkryje.*

„Ten — pomyślał Mały Książę — rozumuje prawie tak jak mój pijaczek”.

Jednak zadał jeszcze dodatkowe pytanie...

„Mały Książę” Antoine de Saint-Exupéry

Prezes Zarządu Okręgu ZPAP w Olsztynie

Marek Kłos



Wanda Radziemska

Z wykształcenia ekonomista, towarzyszy środowisku plastycznemu nieprzerwanie od ponad 30 lat. W latach 1967 -1970 pracowała w PSP, od 1970 do 1981 roku w Biurze Za-

rzędu Okręgu ZPAP w Olsztynie, będąc jego pierwszym etatowym pracownikiem. Gdy w stanie wojennym rozwiązano ZPAP przeszła do pracy w „Sztuce Polskiej”. W marcu 1990 roku ponownie obejmuje kierownictwo Biura ZO, które prowadzi do chwili obecnej. Jej zasługi dla środowiska plastycznego są nieocznione, nikt też pewnie nie wie o nim więcej, niż ona.

Wanda Radziemska – Do 1959 roku olsztyńskie środowisko plastyczne zrzeszone w ZPAP należało do Okręgu Bydgoskiego. W 1959 roku Olsztyn otrzymał prawa samodzielnego okręgu. Środowisko liczyło wtedy 22 osoby. Został wybrany zarząd, powstało biuro.

Na początku związek mieścił się w lokalu Pracowni Sztuk Plastycznych na Starym Mieście. Dyrektor PSP, zresztą też artysta plastyk, pan Henryk Oszczakiewicz, zaofiarował małe lokum na prowadzenie biura ZO ZPAP. Ja pracowałam wtedy w PSP i pan Oszczakiewicz mnie właśnie zaproponował pracę na pół etatu w biurze Zarządu Okręgu. Przyjęłam tę propozycję z radością, chociaż jestem z wykształcenia księgową i tutaj dopiero uczyłam się typowej pracy biurowej. Ale i zarząd uczył się wtedy prowadzenia związku. Początki może były trochę nieudolne, ale uczyliśmy się od siebie wzajemnie. Pracowałam jakiś czas na pół etatu i od 1 maja 1970 roku zwolniłam się z PSP i zaczęłam pracę w biurze ZPAP na pełnym etacie.

Pierwszym prezesem był pan Ryszard Wachowski, kadencje były chyba dwuletnie. Drugim prezesem był pan Julian Dadlez. Prezesem 3-ej kadencji był pan Mieczysław Romańczuk, zaś wiceprezesem pan Andrzej Samulowski.

Okęg się powiększał, przybywało osób, nasz pokój w PSP był malutki i już nie mieścił się w nim wszyscy na związkowych zebraniach. Wszyscy czuliśmy potrzebę znalezienia nowej, własnej siedziby.

To pan Samulowski wypatrył przy Zamku starą komórkę, w której dozorca zamko-

wy hodował króliki, a która kiedyś była strażnicą i zainteresował się nią pod kątem zaadaptowania jej na naszą siedzibę.

Miejsce nie wyglądało najlepiej – podwórze zarosnięte było tak wysokimi pokrywami, że widoczne były aż z ulicy Nowowiejskiego, wszędzie pełno było śmieci, resztek opakowań po muzealnych eksponatach, pomieszane to było z ziemią, która niemal zakrywała mur fosy.

Zaczęły się nasze starania, wysyłanie pism. Na szczęście nie było problemów z uzyskaniem pozwoleń. Nikt nie protestował przeciwko przyznaniu ZPAP tej komórki i podwórza – i dyrekcja Muzeum, i Wydział Kultury UW cieszyły się z tej inicjatywy. BWA mieściło się wtedy w wysokiej baszcie w Zamku, rozpoczęły się już prace nad budową planetarium, gdzie miało się BWA przeprowadzić, i pomysł, aby w okolicach Zamku powstała galeria sztuki wszystkim się podobał.

Gdy już zaczęliśmy starania o to miejsce, dozorca zabrał swoje króliki i zanim zaczęto rozbudowę, mieli tu przez jakiś czas swoją pracownię rzeźbiarze Bolesław Marschall i Edward Jurjewicz.

Na walnym zebraniu okręgu około 60 osób podjęło jednogłośnie uchwałę o dobrowolnym opodatkowaniu się na rzecz budowy siedziby; projekt architektoniczny zrobił pan Bolesław Wolski, wystrój wnętrz zaprojektował pan Eugeniusz Jankowski, rzeźbiarze wykonali meble, kufry, lady i inne elementy wyposażenia wnętrza.

Roboty budowlane przejęły PKZ-ty, tu potrzebna była fachowa robota.

Całe środowisko plastyków zaangażowało się w tę budowę. Mówiłam już o opodatkowaniu – polegało ono na tym, że w tamtych czasach plastycy otrzymywali swoje honoraria albo za pośrednictwem PSP, albo ZPAP – i od tych dochodów wszyscy plastycy zadeklarowali bodajże 2% na cele budowy – pieniądze te były potrącane bezpośrednio przez PSP i ZPAP i przelewane na specjalne konto w banku – i z tego funduszu, który był całkiem niemały, optacaliśmy te wydatki, których władze nam nie finansowały.

Na dziedzińcu była masa śmieci, niepotrzebnych opakowań po muzealnych eksponatach, przez tyle lat uzbieranych przez muzeum, to wszystko trzeba było wysprzątać, wywieźć nadmiar gleby. Zarząd Zieleni Miejskiej dał lepszą ziemię, którą trzeba było splantować – plastycy zrobili to własnoręcznie, posiali trawę, zasadzili krzewy. Także in-



Przed budową - 1968 rok.

ne prace, jak zakładanie drenów odprowadzających wodę i ścieki zalewające dolny dziedziniec, sprzątanie po budowie, malowanie ścian, szorowanie podłóg czy mycie szyb – wykonali sami plastycy.

Przekazanie siedziby Zarządowi Okręgu przez władze odbyło się 22 lipca 1970 roku, natomiast uroczyste otwarcie świętowano 13 i 14 października i połączone było z obchodami 25-lecia ZPAP na Warmii i Mazurach. Towarzyszył im wernisaż Wystawy Plastyki Olsztyńskiej w naszej galerii, we Fromborku otwarto pokonkursową wystawę „Mikołaj Kopernik i jego idea”, a w Piszcu poplenerową wystawę rzeźby.

W drzwiach była wstęga, ja trzymałam na tacy nożyczki, którymi ówczesny I Sekretarz KW PZPR pan Białkowski wstęga tę przeciął. Pan Romańczuk, który prezesował drugą kadencję, był bardzo stremowany, bo wśród gości byli przedstawiciele Ministerstwa Kultury, był Prezes Zarządu Głównego ZPAP Stefan Gierowski, władze miasta Olsztyna i województwa. Plastycy wręczyli władzom wykonany specjalnie na tę okazję, a zaprojektowany przez Barbarę Lis-Romańczuk, pamiątkowy medal, częstowano wszystkich koreczkami i bułgarskim koniakiem „Budafokiem”.

Gdy ja tak biegałam z tym „Budafokiem”, pan Romańczuk powiedział do mnie

– Pani Wando, trzeba częstować przede wszystkim prasę! – A było dużo dziennikarzy, pamiętam, że pan Panas, już świętej pamięci, miał taki rozciągliwy sweter, i na mój widok naciągał go sobie na głowę, abym go nie poznała i nie dolewała koniaku. Ugościliśmy wszystkich, na ile nas było stać.

Z tym medalem to było wcześniej małe zamieszanie. Otwarcie miało być około południa, a rano okazało się, że niedawno mianowany sekretarz propagandy w KW PZPR, nazwisko pamiętam, ale nie będę wymieniała, gdy dowiedział się, że plastycy będą wręczać swoje medale przedstawicielom władz, strasznie się obruszył, że nikt mu nie dostarczył projektu tego medalu do zatwierdzenia. Przybiegł tutaj zdenerwowany, i zwrócił się do mnie: jak śmiecie jakieś medale wręczać, gdzie są projekty, gdzie medale! Ja chcę to widzieć natychmiast! Nie będziecie nic wręczać, dopóki ja tego nie zobaczę! Powiedział coś jeszcze, ale to już nie nadaje się do powtórzenia. Ja szybko pokazałam medal, zobaczył to, uspokoił się, na szczęście nie było na tych medalach nic nieczczonego.

Był to wyjątkowy, za przeproszeniem, burek, no ale takie to były wtedy czasy.

Potem siedzieliśmy z prezesem i ustalaliśmy hierarchię ważności, komu te medale dać, nie można było przecież nikogo ważnego pominąć.

Święto było, się skończyło i od razu zaczęły się kłopoty z ogrzewaniem.

W galerii były trzy piecyki akumulacyjne, w biurze dwa, ale w tych przestrzeniach, wysokie sufity, niewiele to dawają; zimą robiło się straszliwie zimno. Dokupiono więc jeszcze kilka piecyków, ale zakładając instalację elektryczną nie przewidziano takiego obciążenia. Nasza instalacja była podłączona do Muzeum i kiedyś, gdy włączaliśmy kilka piecyków na raz, wpadło tutaj kilku panów z muzeum z wielkim krzykiem, że w zamku palą się elektryczne przewody. Powyłączali nam piece, powiedzieli, że nie mamy prawa grzać nimi, bo tego nie wytrzyma ich instalacja. Co było robić, trzeba było zacząć starania o osobne przyłączenie elektryczne.

Trwało to dość długo, bo trzeba było załatwić pozwolenia, najbliższa trafostacja jest na ulicy Wyzwolenia, aby przeprowadzić kabel, trzeba było zrobić wykop; gdy zaczęliśmy kopać, zainteresowało się tym muzeum, przez trzy miesiące archeolodzy wstrzymywali nam prace badając przymurze, czy można w tym miejscu kłaść kabel – po wielkich trudach udało się ten kabel zainstalować. Skorzystało na tym i muzeum, które do tego kabla podłączyło oświetlenie na dółnym i górnym dziedzińcu.

Kosztowało nas to dużo starania i pieniędzy, plastycy znowu się opodatkowali. Mogliśmy już korzystać z piecyków elektrycznych, ale okazało się to bardzo drogie i wcale za ciepło nie było. Węgłem opalać nie mogliśmy, pan Czubieli powiedział nam, że jeżeli chcemy tak ogrzewać siedzibę, to musimy wybudować komin wyższy od baszty – zabytkowych murów nie można okopcać – a to było przecież niemożliwe. Dlatego musieliśmy zacząć starania o gaz – a wtedy pozwolenie można było otrzymać tylko w Ministerstwie Górnictwa i Energetyki. Zezwolenie załatwiono za czasów prezesa pana Artura Nichthausera, a instalację zamontowano, gdy prezesem był pan Janusz Kompowski.

Innym bardzo ważnym problemem, z jakim borykały się od początku kolejne zarządy, była sprawa uregulowania prawa własności do siedziby. Zezwolenie na budowę dostaliśmy od Wydziału Kultury UW, przyklaśnał temu Wojewódzki Konserwator Zabytków. Od Muzeum nie musieliśmy uzyskiwać żadnych pozwoleń, ponieważ ono wtedy podlegało Wydziałowi Kultury, zresztą Muzeum nie protestowało, wręcz przeciwnie – dyrektorem wtedy był pan Ogrodziński, który bardzo przychylnie odnosił się do naszych

prac, cieszył się wręcz, że w końcu z tego śmietniska, rumowiska, coś pożytecznego powstanie. Ale gdy po wybudowaniu siedziby i jej otwarciu chcieliśmy dostać na piśmie potwierdzenie prawa własności, zaczęto nas odsyłać od jednej instytucji do drugiej – Wydział Kultury odsyłał nas do Wydziału Geodezji, ten do Architekta Miejskiego, stamtąd odsyłał nas znowu do Wydziału Kultury, jako tego, który wydał pozwolenie na budowę.

Trwało to wszystko bardzo długo, a zarządy miały krótkie kadencje, zanim jakiś zdążył się rozpędzić i coś załatwić, już były nowe wybory. Zebraliśmy wiele opinii, zezwoleń, akceptacji, decyzji i być może udało się w końcu tę sprawę załatwić, gdyby nie to, że pan Jaruzelski ogłosił stan wojenny...

Stan wojenny rozpoczął się dla nas wizytą urzędników z Urzędu Miasta, którzy pozabierali nam wszystkie pieczętki, zaplombowali wszystkie drzwi, zablokowano nam też konto w banku.

Był to grudzień, mróz, więc ja mówię – a nasze kwiatki, przecież pomarzną, wyłączyć centralne ogrzewanie – to wszystko popęka, wszystko pożyłwie – no to były jakieś pertraktacje, rozmowy. W końcu okazało się, że przydzielono nas do Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego, patronat nad nami przejął najpierw pan Ławnyowicz, potem pan Oniszczyk, który był pełnomocnikiem do spraw rozwiązanych ZPAP. Pozwolono nam używać biura, ale wszystkie dokumenty, akta, zostały zgromadzone w magazynku, który zamknięto i zaplombowano. Potem przyszedł archiwista i nasze akta posegregował, poszyszał, popakował w teczki. Akta te nam zabrano i według tego, co mówiono, miały być przechowywane w państwowych archiwach. Ale gdy już po skończeniu stanu wojennego chciałam odnaleźć w archiwum dokumenty dotyczące mojej pracy w Biurze ZO, okazało się, że nigdzie ich nie ma. Powiedziano mi, że nasze akta do archiwum nie zostały przyjęte i wszystkie poszły na przeżarcie. I, o ile wiem, podobnie stało się w innych okręgach, w Zarządzie Głównym również – taka była zemsta pana Jaruzelskiego...

Ale mieliśmy trochę szczęścia – przed samym stanem wojennym zgłosiła się do biura pani Kozieli-Poklewska, dziennikarka pisząca o sztuce, zamierzała pisać monografię o plastykach olsztyńskich i poprosiła o wypożyczenie części akt – wzięła do siebie do domu kilka teczek z różnymi dokumentami, ale gdy wybuchł stan wojenny i ona mnie zapy-

tała, co ma z tym zrobić, ja jej powiedziałam – niech pani to trzyma u siebie. I po stanie wojennym ona przysłała do mnie z tym wszystkim i mi to oddała. Takim sposobem trochę dokumentów się uratowało.

Taka była zemsta na artystach plastykach, tylko dlaczego mszczono się i na takich osobach jak ja, które nie są plastykami, lecz pracownikami, niszcząc np. listy płac – teraz, nie tylko ja, ale i inni pracownicy, którzy zatrudnieni byli w związku, nie możemy zdobyć zaświadczeń o pracy czy wysokości zarobków, a to jest przecież potrzebne do emerytury.

Gdy powstał, zgodnie z sugestią pana Jaruzelskiego, ZPAMiG, biuro przekazano temu nowemu związkowi, natomiast galerię oddano pod władanie BWA. Zostało powołane przedsiębiorstwo „Sztuka Polska”.

Od ogłoszenia stanu wojennego ja byłam już na emeryturze, ale gdy rozwiązano ZPAP, zostałam zaangażowana do sporządzenia bilansu likwidacyjnego i do 1983 roku pracowałam u pana Oniszczyka w Wydziale Kultury, potem przeszłam do „Sztuki Polskiej”, gdzie pracowałam do 31 grudnia 1988 roku, więc ciągle byłam w kontakcie z plastykami.

Kiedy w 1989 roku reaktywowano ZPAP, ówczesny prezes ZPAMiG, pan Samulowski rozwiązał to stowarzyszenie i protokolarnie przekazał siedzibę wraz z całym majątkiem na rzecz Zarządu Okręgu ZPAP. I jakiś czas potem dostaliśmy też wszystko, co zostało po „Sztuce Polskiej”, czyli sklep z wyposażeniem, a i trochę pieniędzy też. BWA także zwróciło nam galerię, chociaż tak trochę nieprzyjemnie – pani Rutkowska powiedziała, że ona nam kluczy nie przekaze, bo to nie jest nasza własność – i klucze oddała dyrektorowi Muzeum, a myśmy je dopiero od niego dostali.

Któregoś dnia spotkałam na ulicy pana Wieśka Wachowskiego, i pan Wachowski powiedział do mnie – pani Wando, związek znów żyje!, ja na to – to wspaniale! – szkoda tylko, że beze mnie, ale gdyby był ktoś potrzebny do zorganizowania biura, to ja chętnie przyjdę i będę pracowała, nawet nieodpłatnie. Niedługo po spotkaniu pana Wachowskiego zadzwonił do mnie pierwszy prezes po stanie wojennym, pan Kompowski ze słowami – pani się deklarowała, proszę więc przyjść i rozpocząć pracę w biurze. I już w marcu 90 roku znowu pracowałam w biurze ZPAP.

Pamiętam – zimno było, pan Samulowski przekazał mi siedzibę, ja to przyjąłem. No ale

– nie mieliśmy ani grosza, to poszłam do syna, do Telekomunikacji, aby dał mi jakieś te czki, trochę papieru maszynowego – na czymś musiałam przecież pisać! Poszłam do Wydziału Kultury, dali mi maszynę do pisania z demobilu i tak to się zaczęło. I zaraz zaczęliśmy organizować pierwszą wystawę: „Kartoteka”. Trzeba było wysłać zaproszenia – udało mi się załatwić koperty, ale na znaczki pocztowe to zbieraliśmy datki „do czapki”.

Potem napisałam pismo do wojewody, że nie mamy pieniędzy, a chcemy ruszyć z biurem – i dostaliśmy wtedy 2 miliony złotych na zagospodarowanie się tutaj.

Te pierwsze lata były bardzo trudne – nie mogliśmy początkowo załatwić sprawy sklepu, nie chciano nam oddać tego lokalu, proponowano różne inne gdzieś na Jarotach, na Pieniężnego, miasto nie chciało podpisać z nami umowy; ówczesny prezydent Bukowski powiedział – plastycy są bogaci, biorą po 5 milionów za obraz, to mogą sobie kupić lokal. Po wielu bojach udało się to załatwić.

Ale pieniędzy ciągle nie starczało.

Prezes Piotr Obarek na jakiś czas wynajął nasze przestrzenie firmie „Rasko”, ale gdy oni po roku czy dwóch zrobili bilans, okazało się, że więcej wydają na nas, niż zarabiają – i wycofali się. Potem pani prezes Ewa Plichta wynajmowała galerię Wencłowiczowi – miano potem do niej o to pretensje, bo podpisała umowę na 5 lat, a współpraca z nim była męcząca i my nie wiedzieliśmy, jak się z niej wycofać.

A my musimy przecież jakoś się utrzymać, zrobić remont, naprawić przeciekający dach – deski przegniły, potrzebny jest ekspert, który oceni, co z tym można zrobić.

Od 1990 roku, gdy nastąpiła zmiana na stanowisku dyrektora Muzeum, zmieniło się też radykalnie nastawienie Muzeum do nas. Kiedyś cała ulica Zamkowa żyła, było tu archiwum, był MiMDK, były mieszkania prywatne – pan Cygański wszystkich wyeksmitował, tylko my zostaliśmy. Szkoda, bo ta ulica to część traktu spacerowego, a teraz wszystko jest zakratowane i niszczeje. Myślę, że i nas chciałby stąd wykurzyć.

Na koniec chciałabym życzyć Związkowi długich lat trwania w tej siedzibie, żeby ta siedziba i galeria służyły artystom plastynom jak najdłużej i jak najlepiej.

Wandę Radziemską
wysłuchał Adam Kurtowicz



Andrzej Samulowski

Absolwent Wydziału Malarstwa ASP w Krakowie – dyplom u prof. Zbigniewa Pronaszki w 1955 roku.

Do ZPAP wstąpił w 1956 roku. Od 1959 do 1970 roku, czyli

przez 4 kadencje, członek Zarządu Okręgu. Po zdelegalizowaniu ZPAP, jeden z założycieli ZPAMiG, należał do tego związku od 1983 do 1989 roku, pełnił też funkcję prezesa. Powrócił do ZPAP po reaktywowaniu Związku. W latach 1993 – 96 członek Zarządu Okręgu.

Pomysłodawca i inicjator budowy siedziby ZO ZPAP w Olsztynie, którą pilotował z wielkim zaangażowaniem od 1967 roku aż do jej zakończenia i przekazania siedziby Związkowi w 1970 roku.

Andrzej Samulowski – Studia na ASP w Krakowie rozpocząłem w 1949 roku. Studentami byli ludzie starsi, po wojsku, zakonnicie, czasem jacyś pokręceni wskutek wojennych przeżyć, ale z talentem. Uczyliśmy się bardzo intensywnie, żeby wykorzystać czas i możliwości, w uczelni zawsze było pełno ludzi, był nastrój do tworzenia. Bardzo się przyjaźniłymi ze Starowiejskim, Wróblewskim, na Łobzowskiej był Dom Plastyka, tam spotykaliśmy się z aktorami, przychodził Cybulski, Kobiela, tam spotykali się aktorzy z teatru „Cricot I”, potem „Cricot II”. Chodziłem wszędzie, byłem zachłanny na życie. Bo ja poszedłem do wojska jako 18-letni chłopak, a wróciłem jako dojrzały człowiek, mając 23 lata. Wprawdzie poznałem trochę świata podczas wojny, byłem we Włoszech, Anglii, na Węgrzech, ale Polski nie znałem, Kraków widziałem po raz pierwszy.

Pracowaliśmy mocno na studiach, nie było dobrych materiałów, każdy malował tym, co miał. Ja przywiozłem swoje farby z Włoch, w czasie łażenia po opuszczonych domach w Livorno, po przejściu frontu, trafiłem na skrzynkę, było w niej pełno farb, ja tą skrzynkę tachałem ze sobą, przez całą Europę, przez obozy demobilizacyjne w Austrii, Anglię i przywiozłem ze sobą aż do Olsztyna. I do dzisiaj jej używam.

Miałem wielkie szczęście, ten zaszczyt, co dopiero później doceniłem, że moimi nauczycielami byli „Kapiści”, profesorowie

z ogromnym życiowym stażem w malarstwie, po wystawach i osiągnięciach w Paryżu – Pronaszko, Taranczewski, Rzepiński, Marczyński. Co roku zmieniałem pracownię, aby od każdego czegoś się nauczyć. I dużo się nauczyłem, ale taką miałem naturę, że wolałem być indywidualistą. Wszystkiego chciałem zasmakować, ale do nikogo nie należeć. Każdy jest przecież inny. I dlatego szybko uciekłem z Krakowa, bo w Krakowie tak było, że albo należałeś do jakiejś grupy, stowarzyszenia, klanu albo nie istniałeś. Wolałem być małym królem w małym mieście, a nie „podaj łatę” w dużym.

Skończyłem studia w 1955 roku, do Olsztyna zabrało się nas kilku po krakowskiej szkole – Machnicki, Wachowscy.

Na początku było nas niewielu plastyków w okolicy Olsztyna, kilku starszych; Hieronim Skurpiski, Jan Ilkiewicz z Wilna, to on po wojnie uczył plastyki w WDK między innymi Romańczuka, i Mączkowskiego. Związku u nas jeszcze nie było, należeliśmy najpierw do Bydgoszczy, byliśmy delegaturą. Dopiero ta nasza krakowska grupa zasiliła to środowisko.

Ja utworzyłem taką grupę artystyczną, w owym czasie to było dość modne, zebrałem kilku kolegów: Jasia Ilkiewicza, Zosię Hermanowicz, Marię i Ryszarda Wachowskich, nazwaliśmy się „Grupa Olsztyńska”, mieliśmy kilka znaczących wystaw. W ten sposób łatwiej można było się przebić, być zauważonym. Wystawialiśmy się albo w MPiK-u, WDK-u, albo w Muzeum. BWA, którego pierwszym kierownikiem był Pan Dadlez, już miało swoje pomieszczenia w skrzydle Zamku. Julian Dadlez też był w naszej grupie. To był starszy, kulturalny pan, przedwojenny pułkownik, on był tuż po wojnie wojskowym komendantem Warszawy. Ale uciekł stamtąd, gdy Rosjanie zaczęli robić swoje czystki, były aresztowania, procesy generałów, oficerów, to on zrezygnował z komendatury i schował się tu: mieszkał gdzieś między Olsztynem a Dobrym Miastem, żeby zatrzeć ślady po sobie. Tu, na Mazurach wielu się chowało, jedni, bo byli przed wojną w Wojsku Polskim, inni, bo w niemieckim, lub służyli u aliantów.

Ja wtedy dużo malowałem, robiłem wielkie obrazy, były wtedy takie trendy inspirowane sztuką meksykańską; Sigueirosa, Ortegę, wielkie malowidła, skróty perspektywiczne, żywe kolory, dynamizm – to nas brało, na tle tego zasnętego realizmu, który pa-

nował. Tym bardziej, że my na uczelni w Krakowie mieliśmy dużo swobody, realizmu nam nie narzucano. Jak myśmy przygotowali w Kaliningradzie naszą pierwszą wystawę, to oni takie gały zrobili. Bo u nich to można było malować tylko kapustę lub przodowników pracy. A ja jeszcze pojechałem na wernisaż w takiej kurtce w kolorze cynobru. Mieszkaliśmy w Hotelu „Moskwa”, śmierdziało tłuszczem rybim, którym smarowano podłogi. Były bankiety, ciagle toasty, za przodowników, za przyszłość, za światło, za gwiazdy, ja piłem mało, ale członków naszej delegacji z komitetu, chłopaki fajne, przewodniczący, zastępcy, sekretarze, pod koniec wynosili z sali. Ale jak cię wynosili, to byłeś „ich”, ale jak wychodziłeś trzeźwy, no to już patrzyli na ciebie, czy to cholera nie „szpion” jesteś.

Wracając do nas – każdy musiał poszukać sobie jakiegoś mieszkania, pracowni. Olsztyn był wypalony, odbudowywano starówkę. Zaczęliśmy się starać o mieszkania. Wachowski był w partii, on, Marysia nie, więc pierwszy dostał przydział. On był w porządku, nie był cwaniakiem, szkody nie robił, po prostu chciał, aby było im lżej. Ja jeszcze wtedy dojeżdżałem z Gietrzwałdu, a potem nawet trudno z tego powodu było mi tu coś załatwić, mówili mi – przecież ty masz dom w Gietrzwałdzie!

Gdy doszła ta krakowska grupa, związek zaczął się rozbudowywać. Było nas kilkunastu. Zaczęli ściągać ludzi z Torunia, po uniwersytecie, ale ciężko im było dostać się do związku, bo to nie była uczelnia artystyczna. Aby dostać się do związku, była długa procedura. Związek szanował swoją jakość. Papierek nie wystarczał. Trzeba było wykazać się twórczością.

W owych latach, od 1950 do 1960 Olsztyn miał bardzo dobrą metaloplastykę; wielu artystów tym się zajmowało, m. in. Gienek Jankowski. Była pracownia, którą prowadził Skalski, też plastyk. To był bardzo twórczy okres dla tej dziedziny, realizacji można było zobaczyć wszędzie, w kinach, w instytucjach. Wielu kolegów z tego żyło.

Z malarstwa trudno było się utrzymać. Jedyne Wydział Kultury coś kupował, miał na to pieniądze, m.in. po wystawie kupowano po jednym obrazku. Prywatnie raczej nic się nie sprzedawało. Gdy już powstało PSP, to tam można było dostać prace zlecane.

Związek początkowo nie miał gdzie urzędować, i zbierał się na zamku, przy BWA, tam się spotykaliśmy. Potem właśnie

PSP uostępniło nam jeden pokój, było oddzielne wejście, na nasze biuro. W PSP pracowała już wtedy Pani Wanda Radziemska, która prowadziła księgowość, i to ona z początku zajmowała się także i naszymi sprawami. A jako że my zaczęliśmy się rozwijać, to ona po jakimś czasie przeszła całkowicie do nas i zajęła się już przede wszystkim prowadzeniem Biura ZPAP, a księgowość robił Pan Rutkiewicz.

Ale że Związek się rozwijał, to było w 1967 roku, ja postulowałem, mówiłem na zarządzie – w tym jednym małym pokoiku, który mamy przy PSP my nic nie zrobimy. Musimy mieć coś własnego. I zaproponowałem, że na Zamku, na dolnym dziedzińcu można by przerobić te baszty na lokal biurowy i klubowy, dobudować aneks na galerię. Dobrze znałem teren, znałem zamek, bo tam pracowała moja żona. Na dole, na dziedzińcu były ogrody działkowe pracowników muzeum.

I tak się zaczęło. Związek zaakceptował, ja byłem wtedy wiceprezesem zarządu, Romańczuk był prezesem. Wszyscy powiedzieli – dobra, to ty się tym zajmuj, Andrzej. Wiec ja najpierw rozejrzałem się, pogadałem z Lucjanem Czubielem, Konserwatorem Wojewódzkim, z Architektem Miejskim. Kosztowało mnie to dużo wysiłku, bo nie było łatwo, trzeba było ganiać za niektórymi, żeby się spotkać, coś podpisać, no ale – dla dobra sprawy... Dawali forszę, chociaż nie była ich, ale od nich to zależało. Trzeba było pamiętać o terminach, jak się z kimś umówiłem, to przychodziłem na czas, miałem zawsze przygotowane pismo, żeby nie było gadania o powietrzu – dobrze, pomyślimy... A byłem tak namolny, że niektórzy mówili – załatwmy to, bo znowu diabeł przyjdzie. Trzy lata to trwało. Od 1967 do 70 roku. Dlatego nie ma mnie na zbiorowych fotografiach, bo zawsze gdzieś musiałem coś załatwiać, nie mogli się mnie doczekać, no to zdjęcie robili beze mnie.

Plastyka olsztyńska się rozwijała, było dużo wystaw, braliśmy udział w wystawach w kraju, były indywidualne wystawy za granicą i międzynarodowe nagrody – Bożena Jankowska za plakaty, Barbara Lis-Romańczuk za medale, Zofia Hermanowicz za grafikę – byliśmy widoczni. Organizowaliśmy wiele plenerów. Aktywność związku była bardzo duża. Nasi koledzy pracowali przy różnych państwowych uroczystościach, pochodach, zdobili urzędy malowidłami, wcierkami, sgrafitem. To spowodowało, że władza była nam przychylna. Widzieli, że nasza działalność jest

potrzebna. Byliśmy wtedy tym pędzlem, który politykę władz obrazował.

Sam, pamiętam, zrobiłem na uroczyste otwarcie OZOS-u chyba największą w Olsztynie wcierkę – 8 na 7 metrów, wielką na cztery piętra, wisiało to na ich biurówcu – Lenin był jak żywy, tylko nie mówił...

Z władzą się gadało, czasem piło, ale robota szła do przodu. Wszyscy się angażowali. Ale władza wiedziała, z kim ma do czynienia. Oni nam dawali pieniądze, ale my współdziałaliśmy – wykopki, wstawianie drenów odwadniających – to robiliśmy sami, przecież sami też zaprojektowaliśmy ten cały pawilon, Bolek Wolski zaprojektował całość, zrobił projekt budowlany, Gienek Jankowski robił wnętrze – oczywiście, jak to się w owych czasach mówiło: „w czynie społecznym”. Zostało to zatwierdzone, konserwator dał na to pieniądze, właściwie Wydział Kultury, bo konserwator był pracownikiem Wydziału Kultury. Chyba Zarząd Główny dał nam coś na meble.

Całą tą „papierkową” robotę sam robiłem, zarząd tylko podpisywał. Ja ciągnąłem te wszystkie sprawy. Musieliśmy załatwić pozwolenie na nową instalację elektryczną – pod zamek nie mogliśmy się podłączyć, bo była tam stara, ponemiecka instalacja. Pościągnęliśmy nowe kable aż od ulicy Wyzwolenia, przez ulicę, park, przekopaliśmy się

pod murem aż do bramy. Nawet dzisiaj zamek korzysta z tego kabla i podłącza swoje reflektory na górnym dziedzińcu. Podobny problem był z wodą, trzeba było przekopywać się do zamku, do fontanny. Zamek nie stoi na równym i nie wszędzie można się przekopać. Kanalizację też trzeba było zakładać. To była kupa roboty. I to nie była prosta rzecz. A musiało być zrobione.

Pracowaliśmy wszyscy, Mietek Romańczuk wkopywał drena, Bolek Marschall robił meble i te dębowe schody na górę, Zosia Hudyka zrobiła takie podrzeźbiane nakładki na drzwiach, ja tynkowałem podesty, każdy coś dłubał, bo chodziło o to, aby wszyscy plastycy czuli się tutaj gospodarzami. Bo jak się samemu coś robi, to się o to dba.

Oficjalne uroczystości otwarcia siedziby były w październiku 1970 roku, wcześniej, bodajże 22 lipca było przekazanie siedziby dla ZPAP przez władze miasta. To było tylko formalne zakończenie robót, przekazanie pisma związkowi, nic więcej. Wtedy dostaliśmy najważniejszy dokument, z Wydziału Kultury, który nam tę siedzibę przekazuje we władanie.

Natomiast uroczyste otwarcie, z zaproszonymi gośćmi, przecięciem wstęgi, o czym pisały gazety, było 13 października i połączone było z otwarciem dużej wystawy. W środku było malarstwo, na podwórzu, na

Budowa trwa - 1969 rok *dwa z prawej*: wiceprezes ZO ZPAP Andrzej Samulowski i prezes ZO ZPAP Mieczysław Romańczuk





Żony artystów z wizytą na placu budowy Na pierwszym planie: Anna Samulowska z psem Peko, 1969 rok.

zielonej trawie stały rzeźby. Prezes Romańczuk w wyprasowanych spodniach, przejęty i wzruszony, była władza, sam „pierwszy”. Było bardzo elegancko, ładnie, porządnie, przyszło wielu gości.

Otwarcie siedziby dużo zmieniło w środowisku – w końcu byliśmy „Czymś” – teraz wiedzieli, gdzie nas znaleźć, mieliśmy na górze normalnie działające biuro, nikt nie błędził, nie szukał po Olsztynie, gdzie ci plastycy są. Po drugie – zaczęła się działalność wystawiennicza, mieliśmy własną galerię. Prowadziliśmy wymianę wystaw, były wystawy poplenerowe, były wystawy wynikające z kontaktów osobistych.

W galerii odbywały się też różne inne imprezy jak śluby, spotkania towarzyskie, bale sylwestrowe czy kostiumowe. Była to ładnie urządzona sala, a i potaćzyć można było. Bramę się zamykało, nikt nie przeszkadzał.

Potem przyszły zmiany polityczne, od 1980 roku wszyscy czuli, że coś się szykuje. Wybuchł stan wojenny, Związek został zlikwidowany, inne związki zresztą też. Było ciężko. Zbieraliśmy pieniądze do „kapelusza” na pomoc dla naszych kolegów, którzy byli w ciężkiej sytuacji, to były takie nasze składki, z własnej kieszeni. Bo wiadomo, niektórzy są ruchliwi, i zawsze sobie poradzą, spadną za cztery łapy, ale większość ma dwie lewe.

Likwidację związku robił Wydział Kultury, z ramienia którego działał Oniszczuk. Ja bra-

łem udział w pracach tej komisji i pilnowałem, żeby nam nie buchnęli za dużo. Nastąpiło formalne przejęcie przez Wydział Kultury całego majątku Związku, biura, pomieszczeń, dokumentów. Ale bez fizycznej likwidacji. Przeszedł archiwista, który popakował wszystkie dokumenty w teczki i tak zostawił. Nikt tym się nie interesował.

Potem powstał ZPAMiG, zebrało się nas może 26 osób, wybrano mnie na przewodniczącego, nie chciałem być, ale dla dobra sprawy, żeby móc wejść z powrotem do naszej siedziby, żeby nie wlaź tam jakiś „obcy”, zgodziłem się.

I tak zostałem sam z własną decyzją, co z tymi dokumentami zrobić. Powiedziałem sobie – to musi być schowane w archiwum, bo obojętnie, co się będzie działo, trzeba to schować w takim miejscu, aby gdy ktoś coś będzie potrzebował, wiedział, gdzie to jest. Poszedłem do archiwum, teraz mieści się na ulicy Partyzantów, wtedy było w zamku, w piwnicach, ale oni nie chcieli tego przyjąć, tyle wtedy mieli roboty. Ale wyprosiłem, i wzięli. I tam teraz do tych dokumentów można dotrzeć.

Całością siedziby administrował ZPAMiG. Ja siedziałem w biurze na okrągło, bo niezależnie, czy ktoś należał do ZPAMiG-u, czy nie, myśmy załatwiali sprawy wszystkich artystów. Sprawę pracowni, którą komuś zabierano, albo przydzielaliśmy zapomogę.

Był taki młody plastyk z Torunia, zdolny malarz, miły i przystojny facet, popełnił samobójstwo, przyszła jego żona, zapłakana, była pielęgniarzką, mieli małe dziecko, trzeba było pomóc. Miał jakieś problemy, nie mógł sobie poradzić.

W 1983, 84 i 85 roku organizowałem plenery w Mielnie, w byłej centrali ZMS. Miejsca ładne, dobre warunki. Przyjeżdżali ludzie z całej Polski i zza granicy.

Pomagałem też Bolkowi Marschallowi, bo chcieli sprzedać Zamek w Reszlu, a jego stamtąd usunąć. Paranoja! Notabene – teraz Bolek i Fundacja „Zamek” przejęli wszystko i zapomnieli o nas. A przecież te pomieszczenia w zamku powstały w wyniku akcji odbudowy, którą przeprowadził nasz olsztyński Okręg ZPAP. Związek i Zarząd Główny dał 1 600 000 złotych na remont tego skrzydła, gdzie są pracownie, tzw. „Dom Pracy Twórczej”. Wtedy jeszcze tam Bolka nie było, na zamku siedzieli Hulanicy, to były lata 60-te. Robiliśmy to dla wszystkich, przyjeżdżali tam nie tylko plastycy, ale i literaci.

Była to poważna akcja, włożyliśmy w reszelski zamek bardzo dużo, i pieniędzy i własnej pracy. To są fakty! Marschallowie są gościnni, nie przeczę, ale też my tam całkiem „obcy” nie jesteśmy.

Gdy nasza galeria była pod kuratelą BWA, Krystyna Rutkowska wstawiła do środka ten metalowy stelaż, nawet nie wiem, w jakim celu, może miała jakieś swoje koncepcje, o których nie mówiła. Może myślała, że Związek całkiem się rozleci i coś tu zbuduje... Można by to teraz wykorzystać i zrobić drugi poziom, taką antresolę na wystawianie małych form.

Pod koniec dekady znowu zaczęły się polityczne zawirowania, komuna upadała. O siedzibie nie było co się martwić, nikt jej nam nie mógł zabrać, była częścią zamku, a zamek był i nadal jest własnością Skarbu Państwa.

Potem reaktywował się ZPAP, więc napisałem takie pismo, że jako prezes ZPAMiG-u, w związku z niemożliwością prowadzenia działalności statutowej, rezygnuję z prezesury. Cały zarząd z tym się zgodził i podał do dymisji.

W ZPAP zaczęły się kłótnie, szukanie win u innych, postanowiliśmy więc założyć Regionalny Związek Artystów Warmii i Mazur jako taką „odtrutkę” na ZPAP. Zebrało się nas 15-tu facetów, i ten związek założyliśmy. Zarejestrowaliśmy statut, ale – nic się nie działo, związek istniał tylko na papierze, ani jed-

nego zebrania, spotkania, żadnej działalności, w końcu większość i tak wróciła do ZPAP.

Potem, gdy prezesem Zarządu Okręgu został Obarek i ja wróciliśmy do ZPAP. Bo można było być i w dwóch związkach. Zgodziłem się nawet być w zarządzie za prezesury Ewy Plichty, ale już chciałem odpocząć, malować – ileż można pracować społecznie, ja już się dość napracowałem...

Czasy się zmieniły, Związek powinien mieć możliwość prowadzenia działalności gospodarczej, żeby istnieć i działać, trzeba mieć pieniądze. Można by stworzyć taką agencję, która będzie wszystko koordynowała, dawała pracę plastykom, szukała tej pracy. Zatrudnił managera, mającego zacięcie artystyczne i znającego się na rzeczy, i działać. Na sztuce można zrobić interes, tylko trzeba wiedzieć jak.

Na szczęście nikt nas z siedziby nie chce wyrzucić, mamy do niej swoje prawa, ale największym prawem do tej siedziby jest nasza działalność artystyczna. Związek musi znowu stać się potrzebny miastu. Związków w ostatnich latach powstało wiele, ale tylko jest jeden związek artystów profesjonalistów, jest nim ZPAP i to on powinien być najważniejszy. Galerię trzeba utrzymać, remontować. A w galerii ZPAP powinien być profesjonalny poziom wystaw. Niedużo, ale elegancko i porządnie. Trzeba utrzymywać standard, poziom, żeby to, co ma znak ZPAP, było gwarancją jakości. Województwo nam się zwiększyło, my jesteśmy stolicą regionu, nasz związek powinien być centrum kultury, a my nawet porządnej galerii nie mamy!

Przy okazji organizowania tego jubileuszu, 30-lecia naszej siedziby, warto wszystkim przypomnieć o tym, czym jest ZPAP, jaka była jego historia, co zrobiono, jakie ma możliwości.

Uważam, że bardzo ważnym osiągnięciem jest Biuletyn, który wydaje obecny Zarząd Okręgu, a w którym o tym właśnie się mówi. Czytam go z ciekawością, jest tam maximum informacji o naszych sprawach. Nie wiem, czy w Polsce jest coś podobnego. Świat się zmienił i trzeba zmieniać się razem z nim, działać po nowemu.

*Andrzeja Samulowskiego
wysłuchali Marek Kłos
i Adam Kurlowicz*



Bolesław Wolski

Absolwent Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, przyjęty do ZPAP na podstawie prac w 1957 roku. Członek Zarządu Okręgu w latach 1967-70, 1974-77. W latach

1977-80 prezes ZO ZPAP w Olsztynie, od 1980 pełnił funkcję wiceprezesa ZO, kadencję przerwało ogłoszenie stanu wojennego i zdelegalizowanie ZPAP. Po reaktywowaniu Związku w 1989 roku pełnił tę funkcję jeszcze kilka miesięcy do nowych wyborów. Autor projektu architektonicznego siedziby Zarządu Okręgu ZPAP w Olsztynie.

Bolesław Wolski – Motorem całego przedsięwzięcia niewątpliwie był Andrzej Samulowski, który chyba wtedy pełnił funkcję wiceprezesa Zarządu Okręgu, zaś prezesem był Julian Dadlez. Potrzeba stworzenia własnej siedziby istniała od dawna, spotykaliśmy się w pomieszczeniach Pracowni Sztuk Plastycznych, które mieściło się wtedy na ulicy Curie-Skłodowskiej. Właściwie ci, co tam pracowali, zajmowali się też sprawami ZPAP. Ale to nie wystarczało.

No więc Andrzej Samulowski zainspirował wszystkich tym pomysłem, aby wybudować siedzibę ZPAP, on też znalazł miejsce na dolnym dziedzińcu. Wtedy była tam taka ruinka – baszty, mimo dachów jakie miały, były całkowicie zrujnowane. Korzystał z nich przez jakiś czas Bolek Marschall, obrabiał tam dwutonowe glazy, ale co on wtedy rąbał...? może Świerczewskiego...?

Była to zaniedbana działka, z ziemi i odpadów zrobiła się taka góra, Hieronim Skurpski miał tam warzywny ogródek, hodował pomidory.

No więc my przystąpiliśmy społecznie do tej pracy, a wtedy nie było silnego na „społeczne” akcje. Zaczęło się od odgruzowania. Wszyscy, którzy nie mogli inaczej pomóc wzięli się za łopaty.

Ja jestem członkiem ZPAP od 1957 roku. Z wykształcenia jestem architektem, absolwentem Politechniki Warszawskiej, potem na podstawie prac zostałem przyjęty do ZPAP, do Sekcji Architektury Wnętrz, jako tzw. członek nadzwyczajny, potem zwyczajny. W 1978 roku zostałem nawet wybrany

Prezesem Zarządu Okręgu na jedną kadencję. Wiec ja, jako architekt, w sposób naturalny zrobiłem projekt architektoniczny. Była to koncepcja połączenia tych dwóch brył, jakimi były niezależne od siebie baszty, takim wachlarzem. Oczywiście, trochę ograniczały nas materiały, jakie były do dyspozycji, pewnie dzisiaj można by to zrobić inaczej. Ale wiem, że wcześniej przyjeżdżał jakiś urzędowy architekt z Berlina, i mówił, że on sobie nie wyobraża, w jaki sposób można połączyć takie dwie bryły, ale gdy zobaczył, jak to zrobiłem, powiedział, że można.

Zaczęliśmy działać i muszę powiedzieć, że o tyle nam się to udało, bo weszliśmy na teren, który nigdy prawnie nie został nam przydzielony. Robiliśmy to trochę na wariackich papierach – dla siebie, ale nie na swoim. Nie wiem, jak sobie teraz z tym poradzić... Byliśmy już dość blisko załatwienia tej sprawy, ale Muzeum zawsze twardo temu się sprzeciwiało. Chociaż na początku, gdy zaczęliśmy porządkować dolny dziedziniec, Muzeum nawet się z tego cieszyło, że gruzowisko będzie usunięte. Ale gdy już wszystko zostało uporządkowane, gdy zainstalowano oświetlenie, to pewnie pomyśleli sobie – a może warto by to jednak mieć...

Mieliśmy kłopoty z wodą, która z górnego Zamku spływała na nasz dziedziniec, był też problem z bramą, która była owszem, całkiem fajna, tylko ciężarówka wożąca koks do Zamku nie mieściła się w tej bramie, i trochę tę bramę zmasakrowały – jest teraz dużo brzydsza, i nie odpowiada tej, która była wcześniej, za czasów historycznych. Musieliśmy też wywieźć masę ziemi, oczyścić wszystko ze śmieci. Ale z tym nie było kłopotu. Najważniejsze było, żeby zacząć.

Mieliśmy też drugiego architekta od wewnątrz, był to Gienek Jankowski, zajął się wyposażeniem w środku.

Na początku nie było większych problemów, gdy tylko zaczęliśmy prace, znalazły się pieniądze, my, jako ZPAP, finansowo za bardzo tego nie wspomagaliliśmy, owszem, kupowaliśmy elementy wyposażenia. Mieliśmy dużo szczęścia, chociażby z tymi płytami kamiennymi, którymi wyłożona jest galeria, wtedy nie było łatwo coś takiego zdobyć – nie wiem, czy to z Reszła, czy z innego zamku, gdzie coś nimi wykładano – dzięki PKZ-etom dostaliśmy jakieś resztki. Natomiast Wydział Kultury znalazł bez problemu pieniądze, Zarząd Główny ZPAP specjalnie nam nie pomagał w tym przypadku.

22 lipca 1970 roku... To była wtedy „dopingująca” data. Na 1 maja czy 22 lipca musiało się coś „nowego” zdarzyć. Wszyscy stawali się zaczęte zamierzenia przed tą datą skończyć. I u nas śpieszono się, aby „trafić” z zakończeniem prac na tę datę. Wtedy wszystko robiło się na specjalne okoliczności. Tego dnia wszystko było gotowe – i biuro, i galeria, na dole był też taki barek, klub. Uroczyste otwarcie było chyba jesienią, ale ja tego dokładnie nie pamiętam, na pewno byli różni przedstawiciele władz, chociaż muszę powiedzieć, że akurat władze miasta w naszym przedsięwzięciu nie odgrywały żadnej roli. Myśmy, jako Zarząd Okręgu mieli do czynienia tylko z województwem, z Wydziałem Kultury.

A potem zaczęła się normalna działalność – w galerii szły wystawy jedna za drugą, były to ciekawe wystawy, niezależne od BWA, które wtedy mieściło się w Zamku, w wysokiej baszcie.

Zaczęły się nasze kontakty z Düsseldorfem, była wymiana wystaw, Niemcy wystawiali u nas, nasi wystawiali się w Niemczech. Nowy lokal służył nam do godnej reprezentacji środowiska.

Ten kontakt podsunęła nam Warszawa, przyjechał do Olsztyna z wystawą Kurt Sandweg, który był wtedy profesorem na akademii w Duinsburgu, zafascynowany bardzo folklorem peruwiańskim, zadziwił nas, bo pokazał prace na arkuszach brystolu o długości ponad dwóch metrów, czegoś takiego wtedy w Polsce nie można było zdobyć. A potem myśmy zrobili naszą wystawę w Niemczech. Pojechała tam grupa kolegów i koleżanek. Nawiązał się stały kontakt, który trwał aż do stanu wojennego.

W programie każdego roku były plenery, co najmniej dwa, na ogół dość niezłe. Finansowały je różne instytucje, np. taka „Warfama”, która udostępniała swój ośrodek, doskonale się współpracowało z Garbnem. Wszyscy chętnie w nich uczestniczyli, bo były dobre warunki do pracy, dobre jedzenie, zawsze były komplety. Pamiętam ciekawy plener we Fromborku, były plenery w PGR-ach. Nasze środowisko nie zamykało się w swoim gronie, zapraszani byli koledzy z innych okręgów, z zagranicy także. Byli oczywiście tacy, którzy nie opuścili żadnego pleneru, tacy „żelazni bywalcy” – można przecież było dobrze zjeść czy wypić...

Osobiście, będąc architektem wnętrz, nie znajdowałem tam dla siebie odpowied-

niego klimatu do pracy, ale często odwiedzałem kolegów na plenerach. Chociaż sam też i rysuję i maluję, no ale nie jest to moja zasadnicza dziedzina twórczości.

Mieliśmy też żywe kontakty z teatrem, niektórzy artyści teatralni często brali udział w tych naszych uroczystościach wewnętrznych, wynikało to stąd, że Anna Kochanowska, żona Gienka Kochanowskiego, była kierownikiem literackim Teatru Jaracza, stąd to zajął się też tych dwóch światów.

Plastycy dostawali wtedy dość często zamówienia od miasta czy województwa na obrazy czy malowidła ścienne do urzędów – ale nie płacono najlepiej, były wtedy cenniki – płacono od metra kwadratowego. Metr sgrafitta czy metr planszy na płycie pilśniowej kosztował tyle samo. Dlatego coś zamawiano, a za chwilę to już zamalowywano. Był tak niski poziom wykonawstwa w architekturze, musiano to więc czymś obudować, zamaskować, okrasić.

Pracę przyjmowało Kolegium i to ono oceniało, ile jest warta. Pieniądze nie były duże, więc plastycy dorabiali na czym się dało. Istniała też druga instytucja, której teraz nie ma, mianowicie: Rada Artystyczna przy ZPAP. Było to ciało statutowe, które pełniło rolę opiniotwórczą, oceniała np. czy prace zgłoszone do wystawy w Düsseldorfie posiadają odpowiedni poziom artystyczny. Natomiast PSP miało tzw. Kolegium Rzecznawców, które oceniało wartość artystyczną i finansową prac, które za pośrednictwem tej instytucji robiono, to było takie sito, przez które wszyscy musieli przejść. Z czasem i ZPAP dostał prawo wykonywania prac, artysta pracując za pośrednictwem ZPAP stawał się osobą prawną, ale Rada Artystyczna do tego się nie wtrącała.

Potem powstała jeszcze Spółdzielnia „Plastyka”, przez którą również można było przeprowadzać zlecenia.

W 1978 roku wybrano mnie na Prezesa Zarządu Okręgu, a ostatnim prezesem przed stanem wojennym był Janusz Kompowski, który nie dotrwał do końca swojej kadencji, bo rozwiązano ZPAP.

W grudniu 1981 roku mieliśmy zjazd delegatów ZPAP we Wrocławiu i już wtedy czuło się narastanie niepokoju.

Po rozwiązaniu ZPAP nie było atmosfery, aby się spotykać, wielu ludzi przestało uczestniczyć w życiu artystycznym. Trzeba wiedzieć, że gdy w Stoczni Gdańskiej zrodziła się „Solidarność”, ZPAP był jednym

z pierwszych, który poparł ideę wolnych związków zawodowych i dlatego jako jeden z pierwszych, na początku stanu wojennego, został zdelegalizowany i potraktowany niemal jak organizacja podziemna – wpadli do naszego Biura jacyś uzbrojeni ludzie, jakby mieli ognisko oporu likwidować. Komisarzem do spraw likwidacji związku był niejaki Oniszczuk, i tak skutecznie działał, że wkrótce oczyścili nas ze wszelkich dokumentów, jakby chcieli wymazać historię ZPAP z pamięci. I jak ochoczo to wszystko niszczone!

Przez jakiś czas, już po ogłoszeniu stanu wojennego, zanim galerię przejęło BWA, prowadził tu swój sklepik z materiałami artystycznymi Jungst. Stała tu taka wielka szafa z farbami i pędzłami. Myśmy zdążyli wyłapać te importowane materiały przez warszawskie Biuro Zaopatrzenia Artystów Plastyków,

Narada z przedstawicielami Urzędu Wojewódzkiego, Konserwatorem Wojewódzkim i architektami, 1969 rok. *trzeci z prawej: prezes ZO ZPAP Mieczysław Romańczuk*



dostaliśmy je do Olsztyna w komis i Jungst zaczął to prowadzić. Z tym że zrobił on na tym potem cholerny interes, warunki miał doskonałe, termin spłaty długi, chyba trzyletni, i zaczął handlować tymi materiałami na prawo i lewo, całkiem prywatnie – przechodzili tu różni ludzie, aby bez uprawnień kupować. Był to wielki szwindel...

Kiedy zaistniała możliwość reaktywowania ZPAP pod koniec lat 80-ych, w moim domu spotkała się pierwsza grupa inicjatywna – przyszli m. in. Hieronim Skurpski, Janusz Kompowski, Bożena Jankowska i Paweł Udorowiecki, który powiedział nam, że w Warszawie odtwarza się związek, ale nikt nie jest zainteresowany okręgami, i że trzeba to wziąć w swoje ręce. Nasza siedziba na ulicy Zamkowej była wtedy jeszcze w rękach ZPAP-MiG-u, i ja zaproponowałem, abyśmy urzą-

dzili nasze biuro w PSP, które miało na własność całą kamienicę. Propozycja ta nie została przyjęta dobrze w środowisku, ale jak teraz patrzę na tą sprawę, to może był to niegłupi pomysł – bo gdybyśmy tam wleźli, pewnie po likwidacji PSP mogliśmy tę kamienicę dostać na własność.

Postanowiliśmy też, że Janusz Kompowski dokończy swoją przerwana kadencję, dzięki temu nie było żadnych problemów z wyborami i można było od razu zacząć działać.

Było także spotkanie w Filharmonii, spędzono wszystkich plastików, mieliśmy dyskutować o losach plastyki, Wiesio Wachowski siedział na scenie w pozie Stańczyka i wygłaszał swoje filozofie: dokąd idziesz plastyko...

Pamiętam, zabierałem głos jako przedstawiciel środowiska plastików, byłem wtedy chyba wiceprezesem u Kompowskiego, było to pierwsze ogólne spotkanie po reaktywowaniu ZPAP. Zebranie organizacyjne odbyło się w kaplicy św. Anny na Zamku i tam już wybierano nowe władze, wtedy wybrano Obarka na prezesa.

Po stanie wojennym w środowisku był taki dualizm. My, stara gwardia, utrzymywaliśmy kontakt z Zarządem Głównym, a Wiesiu Wachowski, przez swoje kontakty chyba w Gdańsku, gdzie utworzyła się taka grupa secesyjna w ZPAP i swoje związki z „Solidarnością”, powodował takie różne zawirowania. Pamiętam zebrania w kaplicy św. Anny, które Wiesio prowadził, niezbyt dla nas „starych”, przyjemne. Po stanie wojennym pojawili się nowi ludzie, którzy nie wiedzieli, jak było wcześniej, tym bardziej że tak wiele dokumentów z tych czasów zostało w stanie wojennym zniszczonych.

Moja przynależność do ZPAP zakończyła się dość nieprzyjemnie, gdy już po stanie wojennym zostałem bez ostrzeżenia wyrzucony ze Związku za prezesury Piotra Obarka za niepłacenie składek. Po 35 latach należna do Związku należała mi się jakaś normalna procedura, przypomnienie, czy ostrzeżenie... Głupio. Moja legitymacja ZPAP ma numer 4105, z żyjących chyba tylko Hieronim Skurpski ma wcześniej numer...

Zostałem skreślony i już nie wiem, co się w Związku działo...

*Bolesława Wolskiego
wysłuchał Adam Kurlowicz*



Eugeniusz Jankowski

Absolwent Wydziału Sztuk Pięknych UMK w Toruniu i ASP w Warszawie – dyplom w 1958 roku. Należał do ZPAP od 1958 roku. Przez dwie kadencje, w latach 1967-72 człon-

nek Zarządu Okręgu, od 1972 do 1974 roku pełnił funkcję prezesa. Autor projektu wnętrza siedziby Zarządu Okręgu ZPAP w Olsztynie.

Eugeniusz Jankowski – Do Olsztyna przyjechałem w 1959 roku, była pełnia wiosny, moja pierwsza żona, Bożena, miała tutaj rodziców. Gdy przyjechałem, bardzo mi się to miasto spodobało. Zameldowałem się w związku, biuro było na Starym Mieście, w lokalu PSP. Zapisalem się też do PSP, wypytano mnie, co mogę robić, jaką sztuką użytkową się zajmuję.

Początkowo zdobywałem zlecenia poprzez swoich znajomych dziennikarzy, jakieś drobne rysunekki w „Gazecie Olsztyńskiej”, i tak powoli, powoli wciągałem się.

Pracowni wtedy jeszcze nie miałem, najpierw dostali przydziały nasi starsi koledzy, starsi „stażem” – dostali pracownię na Limanowskiego, na Zatorzu – Artur Nithausser, Mietek Romańczuk, Zosia Hermanowicz, potem, gdy ona wyjechała, był tam Bogdan Stefanów.

W „Miastoprojekcie” miałem kolegę, Andrzeja Bruszewskiego, skontaktowałem się z architektem Panem Kowalczykiem – i oni zaprojektowali w budynku przy Placu Bema, pracownię, wydzielili ją ze strychu. Musiałem poczekać jeszcze rok od momentu oddania budynku, zanim tę pracownię dostałem, na początku nie chcieli mi jej dać, starała się o to jakaś instytucja, ale ponieważ to zostało zaprojektowane jako pracownia, a była wtedy ustawa, że jak jest coś pracownią, to na nic innego nie może być przeznaczone, dostałem ją w końcu, chyba w sierpniu 1962 roku.

Malowałem duże obrazy, ale bardzo rzadko udawało mi się je sprzedać. Rynek prywatny nie istniał, nie było takich galerii jak teraz, czasami władze – Wydział Kultury i Sztuki lub Muzeum, kupowały jakiś obraz z wystawy. Jedynie w BWA można było zrobić wystawę.

Były krytyczne wypowiedzi o naszym środowisku, że olsztyniacy za mało się pokazują w Olsztynie, że ludzie o nas za mało wiedzą. Ja broniłem koleżanek i kolegów, mówiąc, że lepiej jest dla miasta, jak nasi wystawiają się poza Olsztynem, i robią nam „dobre imię” w Polsce czy za granicą, bo tu i tak są znani - żyją tu i pracują. I rzeczywiście – bardziej byliśmy znani na zewnątrz, odnosiliśmy wtedy sukcesy, nasi olsztyńscy plastycy wystawiali i w Polsce i za granicą, nazwisk można by wiele wymieniać. Ja też pokazywałem swoje prace w Niemczech i we Francji – na indywidualnych i zbiorowych wystawach.

To były dobre lata dla olsztyńskiej plastyki i sam nie wiem, dlaczego tak dobrze nam się z władzami współpracowało, w innych środowiskach chyba tak różowo nie było. Może były to ambicje naszych olsztyńskich władz wojewódzkich, aby się dobrze pokazać. Tym bardziej że patrząc na nasze sukcesy pod kątem proporcji do ilości plastyków, to sukcesy te były znaczące.

I to ten korzystny klimat dopomógł nam i w sprawie budowania naszej siedziby.

Głównym inicjatorem i duszą tego przedsięwzięcia był Andrzej Samulowski. Uważał, że aby mieć prestiż, poważanie u innych, musimy mieć własny lokal. Aktorzy mieli Teatr, muzycy Filharmonię, a my mieliśmy mały pokoić, nie u siebie zresztą. I to Andrzej nas wszystkich mobilizował, to on mnie i Bolka Wolskiego poprosił o zaprojektowanie siedziby.

Przedstawiono do oceny dwa projekty – jeden był kolegi Wolskiego, a drugi mój. Wygrał projekt Bolka z tym mocno przeszklonym pawilonem. Mój projekt wyglądał troszeczkę inaczej – połączyłem te dwie baszty, które stoją w stosunku do siebie prostopadłe, wspólnym dachem krytym dachówką – wydawało mi się to bardzo logiczne, pod dachem ta struktura nowo powstająca bardzo by się różniła od tych dwóch starych baszt. Miałaby to być struktura metalowo-betonowa, z tym że okna były dopiero za nią. Ściany byłyby solidniejsze, cieplejsze. Niestety, projekt się nie zachował, nawet nie wiem, jak zginął, zresztą poginęło bardzo dużo dokumentów dotyczących ZPAP.

Nie ujmując wartości projektu kolegi Wolskiego, wydaje mi się, że to, co zostało zrobione według jego projektu, to jest to architektura bardziej pawilonowa, moja by była bardziej solidna, bardziej odpowiednia na nasze tutaj, warmińsko-mazurskie, warunki

atmosferyczne. Utrzymać ciepło w takim przeszklonym pawilonie jest niezwykle trudno. Być może, gdyby dach siedziby miał taki kształt, nie byłoby teraz problemu z przeciekaniem i ogrzewaniem. Tak na to patrzę teraz, z dystansu, ale wtedy koledzy mnie nawet przekonali, że to rozwiązanie Bolka będzie ciekawsze.

Budowę nadzorowali członkowie ZPAP, sami wiele robiliśmy, np. kiedy trzeba było podłączyć siedzibę do trafostacji, urząd dał nam kabel, ale nie miał ludzi i myśmy ten kabel sami zakopywali – to było ponad sto metrów, kabel trzeba było przeciągnąć pod murem, kopać kawałek za murami, aby podłączyć siedzibę do prądu. Pracowaliśmy wszyscy, byliśmy bardzo zżyci, nie było podziałów na koterie, czy grupy. Opodatkowaliśmy się też wszyscy na rzecz budowy. Było nas wtedy kilkudziesięciu w okręgu. Pod koniec lat 60-ych i na początku 70-ych do Związku przyszło dużo nowych ludzi. Wtedy wszystkie honoraria szły na jedno konto, albo przez PSP albo ZPAP, i księgowość potrącała kilka procent od naszych dochodów na fundusz emerytalny, ubezpieczenie na życie i dodatkowo 2% na budowę siedziby.

Pieniądze na budowę otrzymaliśmy z Ministerstwa Kultury, ok. 40% kosztorysowej kwoty dał Konserwator Zabytków, byli jeszcze jacyś inni sponsorzy, ale mniej znaczący. Wyglądało to inaczej niż teraz, my podlegaliśmy Wojewódzkiemu Wydziałowi Kultury, który miał pieniądze z budżetu państwa. Niestety, teraz pieniędzy na kulturę w ogóle nie ma, aby na wernisaż załatwić wino czy kanapki, trzeba prosić jednego czy drugiego – wtedy dawały na to pieniądze instytucje państwowe, fundusze na kulturę były.

Czasem było nawet zabawnie, bo taki Gieniusz Zawadzki czy Gerard Skok, szefowie wydziału kultury UW, mieli swoich ważnych gości, czasem zagranicznych, chcieli urządzić bankiet, ale nie mogli na to wydawać pieniędzy, bo było to surowo zabronione. Ale kupować dzieła sztuki mogli. W takiej sytuacji dzwonił wtedy jeden czy drugi do plastyka i mówił – będzie wielki bankiet, muszę kupić od ciebie obraz i kupował bardzo dobrze wyceniając, a my od razu oddawaliśmy jedną trzecią tej kwoty na bankiet Raz zadzwonił do Samulowskiego, raz do mnie, potem do kogoś jeszcze. My mieliśmy pieniądze, oni mieli bankiet.

Elementy wyposażenia wnętrza siedziby kupiliśmy w Olsztynie, lustro w złotej ramie

w Warszawie, żyrandol też w Warszawie, w „Desie”. Dostawaliśmy gotówkę albo od Pani Wandy albo od Pana Rutkiewicza, który był głównym księgowym i jechaliśmy. Kupowaliśmy, co było nam potrzebne, braliśmy rachunki z państwowych sklepów, „Desa” przecież też była państwowa, przywoziliśmy to i montowaliśmy.

Teraz siedziba jest trochę odizolowana od Muzeum. Kiedyś tak było, że turyści zwiedzający muzeum, i wycieczki i ludzie przychodzący indywidualnie, kończyli zwiedzanie na naszej siedzibie, przechodzili przez te małe drzwi w murze, które w ciągu dnia były otwarte, schodzili po schodach na nasze podwórze, zaglądali do pawilonu, oglądali wystawę, obok była kawiarenka, gdzie sobie odpoczywali. Na dolnym dziedzińcu kończył się cykl zwiedzania.

Ta nasza siedziba była tak efektowna, że wszyscy chcieli urządzić w niej swoje uroczystości. Nawet władze miasta, czy województwa, gdy miały swoich „ważnych” gości, zwracały się do nas z prośbą o udostępnienie im naszych pomieszczeń na ich imprezy. Bo miejsce jest na uboczu, można było zamknąć bramę i dyskretnie się bawić, bez wystawiania się na publiczny widok. Takich

imprez było bez liku. Plastynom, jak wszystkim, rodziły się dzieci, i tu co roku robiliśmy dzieciom choinki, często Mietek Romańczuk przebierał się za św. Mikołaja. A dorośli mieli swoje zabawy – obchodzili Sylwestra, czy urządzali bale kostiumowe. Zresztą – bale maskowe odbywały się też w DŚT, były organizowane przez plastyków, ale przychodzili tam wszyscy – aktorzy, literaci, dziennikarze. To bardzo integrowało środowiska twórcze.

Przez olsztyński Teatr Jaracza przewinęło się kiedyś mnóstwo świetnych aktorów, oni chcieli tu przyjeżdżać i grać. Stwarzano im do tego warunki. Była dobra wola ówczesnych decydentów, aby inwestować w kulturę, ale i same środowiska były bardziej aktywne, bardziej twórcze.

Na przykład – inicjatywa tych wszystkich imprez obchodu rocznicy kopernikańskiej wyszła od nas, a władze natychmiast temu przyklasnęły. Gdziekolwiek puszczaliśmy „próbny balon”, był natychmiast podchwytywany. Decydemtom iskrzyły się oczy i pieniądze się znajdowały. Bardzo dużo zależało od nas ale i warunki były sprzyjające.

Były obchody rocznicy kopernikańskiej. zorganizowano duże plenery interdyscyplinarne, w których brało udział kilkadziesiąt

Prezes ZO ZPAP Mieczysław Romańczuk przy wkopywaniu drenów, 1969 rok.



osób, w tym wielu uczestników zza granicy. Pierwszy z tych plenerów ja organizowałem, każdy poza bezpłatnym pobytom dostał jeszcze stypendium twórcze, gotówkę. Plener ten sfinansował ZAIKS. W uzyskaniu środków pomógł mi prezes ZG ZPAP Janusz Kaczmarski. Przekonaliśmy wszystkich, że jest to wyjątkowa uroczystość i że warto wspomóc to nieduże olsztyńskie środowisko, mieszkające tu, gdzie żył Kopernik, i gdzie powstało jego dzieło. I dostaliśmy jak na tamte czasy kolosalne pieniądze. A następne plenery finansowały już tutejsze władze. Była reklama dla województwa – Francuzi, których gościliśmy na plenerze wrócili do siebie i w Lyonie zaraz jedną z ulic nazwali ulicą Kopernika.

Plenery kopernikańskie pośrednio przyczyniły się przecież do tego, że na ścianie BWA pojawiła się ta monumentalna płaskorzeźba Stefana Knappa, bardzo znanego artysty z Anglii, który zresztą dość często bywał w Polsce, bo miał tu rodzinę. To my zaprośiliśmy go na plener. Ja wtedy byłem prezesem Zarządu Okręgu. I on sam zaproponował, że zrobi ścianę przy Planetarium. Prawdę mówiąc, nie wierzyłem, że coś z tego wyjdzie. A tu okazało się, że jest to gotowe, on to w Anglii zrobił, wypalił, i że trzeba to tylko od niego zabrać. Ale jak to zrobić! To ma swoją wagę, jest wielkie.

Molestowałem te nasze władze, chodziłem, było mi głupio, facet daje prezent, a nikt tego nie chce wziąć. A koszta przewiezienia tej płaskorzeźby do Polski miały być wielkie, w Wydziale Kultury, jak mnie widzieli, to nie chcieli ze mną rozmawiać. Karpowicz mnie opieprzył – coś ty tu namącił, my cię wykopujemy za drzwi! Ty oberwiesz, ale trzeba teraz ratować twarz.

No i załatwili, jak mogli najgorzej. Wzięli najdroższą firmę przewozową, która na dodatek pojechała po to w niedzielę, aby sobie jeszcze podwójnie policzyć. Knapp tylko się za głowę złapał...

Stan wojenny był szokiem dla mnie, jak pewnie dla wszystkich, chociaż niedziela 13 grudnia była takim pięknym dniem, słońce, świeży śnieg... Dość długo nie kontaktowaliśmy się ze sobą w środowisku, ale w końcu ktoś powiedział, no coś trzeba zrobić. ZPAP był zawieszony, siedziba zamknięta. Zleceń nie było, nie wiadomo było co robić. Po jakimś czasie siedzibę nam oddano i wtedy powstał ZPAMiG. Zastanawiałem się długo, ale wreszcie – zapisałem się... Coś być musi,

jakaś skupiająca plastyków organizacja. Tyle czasu i wysiłku poświęciliśmy, aby zbudować chociażby tę siedzibę, czy to ma przepaść...

Niewykluczone, że gdyby nie powstał ZPAMiG, i nie objął w posiadanie naszej siedziby, to wcześniej czy później ktoś by ją nam zabrał. Chociaż czy tak by było na pewno, tego nikt nie wie. Bo w okresie stanu wojennego nikt specjalnie nam tego zabrać nie chciał. Raczej nikogo ten lokal nie interesował. No, ale może za kilka lat to by się zmieniło. Gdyby nikogo tam nie było, pewnie w sposób naturalny weszło by tam Muzeum.

Gdy reaktywowano ZPAP ja już do Związku nie wróciłem. Na samym początku to było mi nawet głupio, że każe się nam ponownie składać deklaracje, bo w końcu ja się z ZPAP nigdy nie wypisałem i nikt mnie z niego nie wyrzucił. Dostałem Złotą Odznakę za działalność społeczną, i Złoty Krzyż Zasługi, też za to. I uważam się dalej za członka Związku. Mam legitymację. A nie interesowały mnie podchody, przepychanki wśród kolegów – po co to! Czy należą formalnie do związku, czy nie, to i tak jestem częścią tego środowiska, jestem z nim związany i będę. A czyjeś sympatie czy antypatie tego nie zmieniają.

Brakuje mi tego, że my się właściwie nie widzimy. Starsze pokolenie odsunęło się trochę na bok, a nie ma okazji, aby poznać się z młodymi, którzy przecież ciągle do Olsztyna przybywają. Nic o sobie nie wiemy. Ludzie odchodzą i czasem na godzinę przed czymś pogrzebem dowiadujemy się, że ktoś umarł. Tak było przecież, gdy zginął Zbyszek Żukowski, zdolny malarz, przejechany przez motocyklistę.

Może czasy są takie, że ludzie się do siebie nie garną.

Teraz generalnie kultura jest inaczej traktowana, niż kiedyś. Teraz się nie liczy, nikt o nią nie dba. I to, co my, plastycy, odczuwamy tak boleśnie, dotyczy pewnie i każdego innego środowiska.

*Eugeniusza Jankowskiego
wysłuchali Krzysztof Janicki
i Adam Kurlowicz*



Maria Szymańska

Absolwentka Wydziału Grafiki Artystycznej ASP w Warszawie – dyplom 1956 r. Należy do ZPAP od 1957 roku. Kilkakrotnie była członkiem Zarządu Okręgu, w latach 1978-80 pełniła

funkcję wiceprezesa, pracowała też w Komisji Rewizyjnej. Brała czynny udział w przygotowaniach do budowy siedziby ZPAP.

Maria Szymańska – Zrobiłam dyplom w 1956 roku, na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, na Wydziale Grafiki. Początkowo mieszkalam jeszcze przez jakiś czas w Ornece, dojeżdżałam do Olsztyna, potem udało mi się dostać pracownię w Olsztynie, na Starym Mieście, na poddaszu.

Wtedy generalnie była taka życzliwość dla artystów, ze strony decydentów, wspominam to z sentymentem – los artystów, ich sytuacja, nie była im obojętna. Trzeba powiedzieć, że ówczesne władze były do naszego środowiska nastawione pozytywnie, pomagały w otrzymaniu i pracowni, i mieszkań.

Nigdy komuny specjalnie nie lubiłam, moja rodzina mieszkała na wschodzie, a tam wiadomo, mieliśmy swoje przeżycia, ale byliśmy w tym kraju i tu trzeba było jakoś żyć. I muszę przyznać, że gdziekolwiek się poszło, aby coś załatwić, wszędzie przyjmowano nas serdecznie. Gdy były jakieś problemy, np z brakiem pieniędzy, szło kilka osób od nas do Wydziału Kultury czy Komitetu – i zawsze coś dostawaliśmy. Byliśmy potrzebni miastu.

Ktoś powiedział mi, a mieszkalam wtedy jeszcze w Ornece – słuchaj, na Starym Mieście remontuje się stare kamieniczki, na pewno będą tam strychy, zobacz, jaka firma to buduje. Poszłam tam, dyrektor był bardzo sympatyczny, nazywał się chyba Gozdek, przyjął mnie bardzo życzliwie, zaraz poprosił do siebie architektów, omówiliśmy, jak można na poddaszu domu, który dopiero się budował, umieścić pracownię dla mnie. Byłam bardzo wzruszona... Wiedziałam już, że na pewno będę tę pracownię miała.

Wstąpiłam do ZPAP w 1957 roku, biuro związku mieściło się wtedy w budynku PSP.

Przyjmowanie do związku wtedy wyglądało inaczej – trzeba było przejść przez procedurę bycia członkiem nadzwyczajnym, po-

tem zwyczajnym. Trzeba było przedstawić swoje prace, dyplom, następowało przyjęcie.

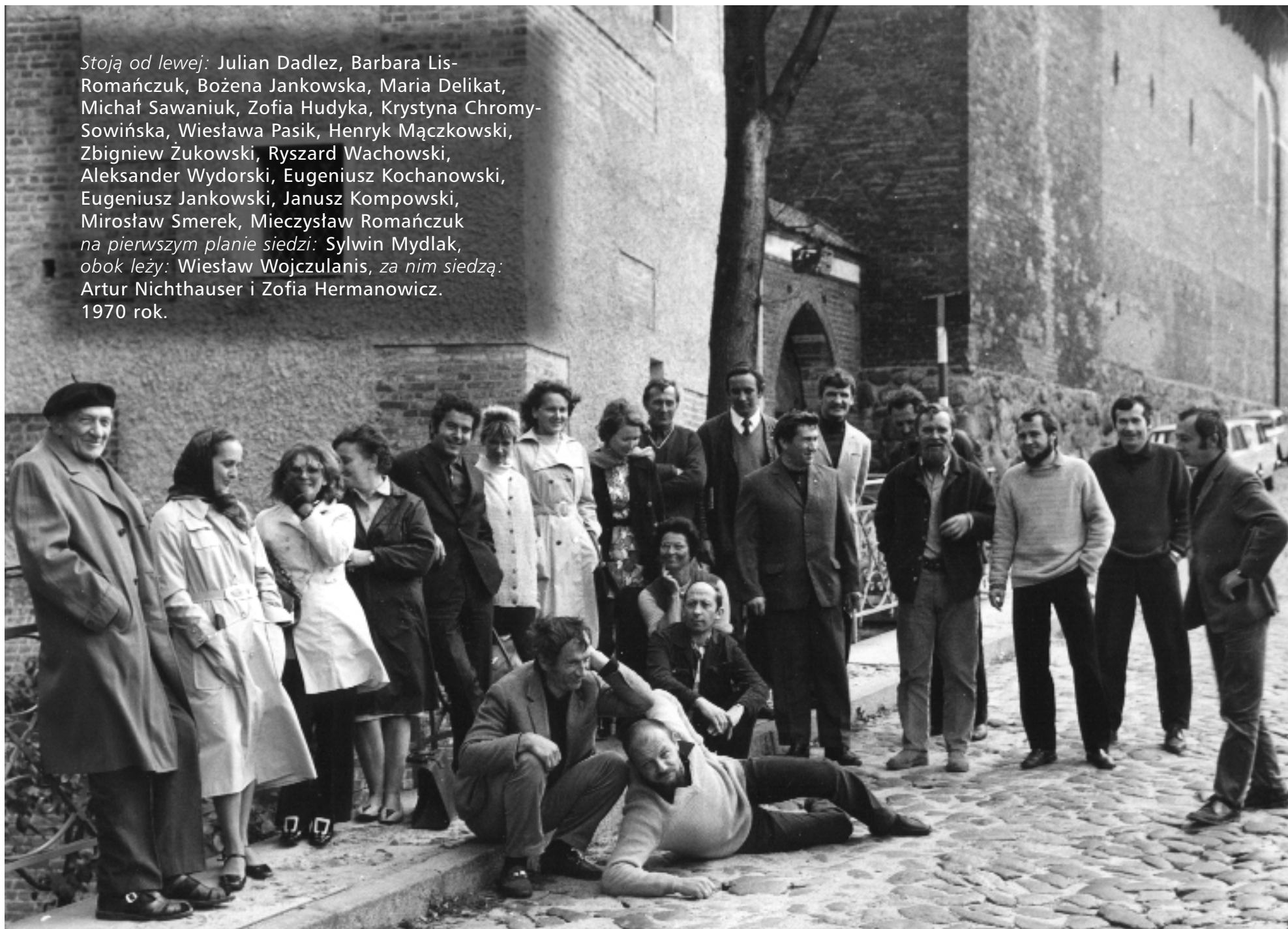
Początkowo Olsztyn nie miał praw okręgu i trzeba było ze wszystkim jechać do Bydgoszczy. Może to była przesada, bo skoro już ktoś dostał dyplom, przepuszczają go jeszcze raz przez sito, był to jakiś policzek dla uczelni, dla profesorów. Zdarzały się sytuacje, że kogoś, kto skończył uczelnię artystyczną nie przyjmowano do Związku, było to przykre.

Gdy zaczęły się prace nad budową naszej siedziby przy ul. Zamkowej, wszyscy opodatkowaliśmy się, tzn. ci, którzy pracowali przez PSP, którzy mieli prace zleczone, a takich prac było niemało, nie tak, jak teraz... Obrazów raczej nie dawało się sprzedawać, chyba że kupowały to urzędy, czy instytucje, czasami z wystaw poplenerowych kupowano po jednym obrazie od każdego, więc zarabialiśmy przede wszystkim robiąc zlecenia, które zdobywaliśmy sami. Najczęściej wykonywaliśmy plansze, były przecież państwowe święta, ja miałam stałe zlecenia na plansze do kin, robiło się to raz na miesiąc. Utworzyliśmy nawet taki zespół, który nazywał się „KOS” – Kochanowski, Oszcza-kiewicz, Szymańska – i tak pracowaliśmy we troje przez wiele lat... Także wojsko, zakłady pracy czy instytucje państwowe składały zamówienia na wystrój wnętrz, na oprawę uroczystości. Na przykład w Wojewódzkiej Radzie Narodowej wykonałam z Henrykiem Oszcza-kiewiczem mozaikę i sgraffito, tam Mietek Romańczuk i Gienek Kochanowski robili, bodajże przy wejściu, malarstwo, także w Domu Polskim robiłam z Heńkiem też mozaikę i sgraffito.

Wracając do siedziby – projekty zrobili Bolesław Wolski i Eugeniusz Jankowski. Podczas prac fizycznych przy budowie, wiadomo, angażowali się przede wszystkim mężczyźni, ale jeżeli coś trzeba było zrobić, wszyscy pomagali, być może dlatego, że my byliśmy tą młodzieżą, która przeżyła wojnę, okupację, i te ciężkie czasy po wojnie, wdziliśmy, że jeżeli chcemy coś mieć, musimy sami to zrobić. Byliśmy też nastawieni do siebie życzliwie, nikt nad innych się nie wynosił, to pomagało we współpracy. Nie było tych „lepszych” i „gorszych”.

Bardzo sprzyjały nam władze, zwłaszcza Konserwator Wojewódzki, Pan Lucjan Czubieli – i w załatwianiu różnych „papierków”, i w samych pracach. Zawsze był dla plastyków, dla Związku, życzliwy.

*Stoją od lewej: Julian Dadlez, Barbara Lis-Romańczuk, Bożena Jankowska, Maria Delikat, Michał Sawaniuk, Zofia Hudyka, Krystyna Chromy-Sowińska, Wiesława Pasik, Henryk Mączkowski, Zbigniew Żukowski, Ryszard Wachowski, Aleksander Wydorski, Eugeniusz Kochanowski, Eugeniusz Jankowski, Janusz Kompowski, Mirosław Smerek, Mieczysław Romańczuk
na pierwszym planie siedzi: Sylwin Mydlak,
obok leży: Wiesław Wojczulanis, za nim siedzą:
Artur Nichthausler i Zofia Hermanowicz.
1970 rok.*



Przed otwarciem naszej siedziby nie było w Olsztynie, poza BWA, żadnej galerii, gdzie plastycy mogliby wystawiać swoje prace. Początkowo BWA mieściło się w Zamku, zanim nie wybudowano Planetarium. W tamtych czasach nasze kontakty z BWA były sympatyczne, dyrektorami byli przecież plastycy, członkowie naszego związku, więc te więzi były bliższe. Olsztyńscy plastycy częściej, niż teraz, tam się wystawiali.

No i tak życie się toczyło, trzeba było zarabiać, poza tym uprawiać swoją twórczość, ale ja też dużo udzielałam się społecznie, pracowałam w Zarządzie Okręgu, organizowałam plenery, których wtedy było bardzo dużo. Dostawaliśmy pieniądze od różnych instytucji, np. często plenery fundowały PGR-y, dawały nam już zagruntowane blejtramy, farby, było doskonałe wyżywienie, czasami organizowano nam jakąś wycieczkę. Była taka zasada, że zostawiało się im jeden obraz, ale często coś jeszcze kupowali od nas. We Fromborku były plenery tzw. „kopernikańskie”, malarskie i rzeźbiarskie.

Ja zorganizowałam dwa plenery w Lidzbarku Warmińskim, władze miasta były dla nas serdeczne i życzliwe, uważano, że te plenery ożywiają miasto, mieliśmy świetne warunki. Na te plenery zapraszaliśmy też koleżanki i kolegów z innych okręgów w Polsce, a także z zagranicy, z Niemiec na przykład. Nas też zapraszano na plenery czy wystawy do innych okręgów – ja byłam trzy razy na międzynarodowym plenerze w Białowieży. Jeden z tych plenerów był plenerem zimowym, to też była wielka atrakcja, drugi odbywał się jesienią, w październiku, już było bardzo kolorowo. Zwiedzaliśmy dziką puszczy, oglądaliśmy zwierzęta, rysowaliśmy, malowaliśmy, mieliśmy specjalne przepustki do rezerwatu, my mogliśmy wchodzić tam, gdzie innym nie było wolno – wycieczki mogły chodzić tylko drogami i z przewodnikiem.

Mieliśmy serdeczne kontakty z Kaliningradem, ich artyści u nas wystawiali, my u nich. Pamiętam, jak przyjechało do Olsztyna kilku Rosjan, mieli tu wystawę i myśmy ich zabrali kilkoma samochodami, ja wtedy też miałam samochód, na wycieczkę. Zawieźliśmy ich wtedy do Gdańska. A oni nie mieli prawa bez zezwolenia swoich władz wyjeżdżać z Olsztyna! Wiadomo, że zawsze wśród nich jakiś „szpion” był, więc potem oni mieli u siebie, po powrocie do Kaliningradu, nieprzyjemności, nagany dostali – tłumaczyli się, że my ich nie pytaliśmy o nic, tylko ws-

dziliśmy do samochodów, a oni nawet nie wiedzieli, dokąd jadą. Innym razem kilku z nich nasi koledzy zabrali do Fromborka, na koncert organowy – to oni płakali, tak się wzruszyli, że byli w kościele.

Dużo pracowałam dla ZPAP, kilka wybierano mnie do Zarządu Okręgu, zawsze było coś do zrobienia, skoro już się do Związku należało, to trzeba było coś robić dla wszystkich. Nie byłam wyjątkiem, każdy tak się zachowywał. Wszyscy byliśmy pozytywnie nastawieni do Związku, zależało nam na tym, aby pracować dla środowiska. Na zebraniach się ustalało, że ten to robi, ten co innego.

Związek odgrywał wtedy większą rolę, niż teraz, więcej znaczył, więcej mógł załatwić dla plastyków, był bardziej potrzebny miastu. Teraz, nawet, gdyby ze skóry wylażić, to niewiele można zdziałać.

Pracowaliśmy dla Związku z potrzeby, nie z wyrachowania. Nikt nie myślał, co mi to da. Teraz wiemy, jak jest. Nie ma więzi między ludźmi. Na zebrania przychodziło bardzo dużo osób, były częste spotkania, dyskusje. Niestety, teraz są inne czasy. Pieniądz przesłania wszystko. Na pewno pieniądze są potrzebne, ale przecież i inne sprawy się liczą. Plastynom jest teraz ciężiej, niż kiedyś, nie ma prac zleconych, a i miasto przestało się nami interesować. Być może sami trochę zawiniliśmy, że Związek stracił prestiż, który kiedyś miał. Ale to jest ogólny trend. Wystarczy przyjrzeć się temu, co dzieje się w całym kraju – sprawy kultury są na ostatnim miejscu. To jest chore.

Kiedyś, gdy pracowaliśmy przez PSP, wszystko, co oddawaliśmy było opiniowane przez Komisję Artystyczną, która składała się z plastyków powołanych do pracy przez Ministerstwo Kultury, i która dbała o poziom artystyczny prac plastycznych, które pojawiały się na mieście – czy to były plansze, czy reklamy, czy malowidła we wnętrzach. Przez jakiś czas i ja byłam w takiej komisji. To znaczy komisję typował Związek, a zatwierdzało ministerstwo. Teraz nikt się tym nie zajmuje, i wystarczy przejść się po mieście, aby zobaczyć ile jest tandety.

Stan wojenny... To było bardzo tragiczne doświadczenie. Zostało rozwalone nasze środowisko, od tego momentu nastąpiły podziały, które są do dziś. Nie potępiam tych młodych, którzy wstąpili do ZPAMiG-u, było zamieszanie, ZPAP nie istniał, my, starsi, mogliśmy obejść się bez związku, ale młodzi, którzy zaczynali... Czasy były trudne.

Powstanie nowych związków było sterowane odgórnie. Ci, którzy się zapisywali, mieli z tego korzyści, np. jeżeli ktoś wtedy zrobił wystawę, czasem i połowę prac od niego kupowano, i to za duże pieniądze. W ten sposób przyciągano do nowego związku, kupowano ludzi. Dlatego ci starsi, którzy znali sytuację, i rozumieli, o co chodzi, a przeżyli trochę życia, powinni byli wiedzieć, czy to jest dobre, czy złe. A często nie tylko to akceptowali, ale i brawo bili, a to było koszmarnie. Bo gdyby nasi koledzy poszli do tych związków, aby coś uratować, to byłoby dobrze, ale oni załatwiali tam swoje prywatne interesy, i rozgrabiali majątek po ZPAP.

Wszystkie te działania odgórnie sterowane były nastawione na podzielenie środowiska, żeby ludzi od siebie oddzielić, malarzy od rzeźbiarzy, architektów od projektantów – bo jeżeli są małe grupki, to łatwiej nimi sterować, łatwiej je zastraszyć.

Wszyscy byliśmy wtedy przynębeni, ludzie przestali się ze sobą kontaktować, ci co nie zapisali się do nowych związków nie spotykali się praktycznie. Nie było dla nich możliwości wystawiania. Ja się wtedy też wyizo-

lowałam, przestałam udzielać, nawet nie wiem, co dokładnie działo się w siedzibie, nie chodziłam tam.

Potem powstała „Sztuka Polska”, należeliśmy do niej, bo nasze legitymacje ZPAP były nieaktualne, a trzeba było się czymś legitymować, np. gdy szło się do lekarza. Przez „Sztukę Polską” można było też dostawać honoraria za sprzedany obraz czy wykonaną pracę.

Gdy po stanie wojennym został reaktywowany ZPAP, na chwilę wrócił Janusz Kompowski na stanowisko prezesa Zarządu Okręgu, ale szybko zrezygnował. To był bardzo sprawny prezes – jak trzeba było coś załatwić, to on załatwił, ale to człowiek „ciężki” we współżyciu, apodyktyczny, gdy za jego kadencji byłam w Komisji Rewizyjnej, czułam się czasem jak marionetka.

Na początku był chaos, odtwarzał się ZPAP, a jeszcze ZPAMiG siedział w naszej siedzibie, pierwsze zebrania były w Zamku, nie pamiętam już, w Sali Kromerowskiej czy w Kaplicy św. Anny. Niektórzy koledzy przechodzili ze ZPAMiG-u do ZPAP, inni tam ciągle trwali. Koledzy obrażali się na siebie, już nie było solidarności w środowisku, które by-

Przed uroczystością otwarcia siedziby ZPAP, 13.10.1970 rok *Pierwszy z prawej: Hieronim Skurpski, za nim Henryk Panas wita się z prezesem ZO ZPAP Mieczysławem Romańczukiem.*





Prezes ZO ZPAP Mieczysław Romańczuk i I Sekretarz KW PZPR Tadeusz Białkowski.
13.10.1970 rok.

to rozbite. Tyle złego zrobił stan wojenny... Chyba ludzie przestali interesować się sprawami środowiska, wystarczy popatrzeć, ilu teraz przychodzi na zebrania związkowe...

Podczas pierwszych wyborów wybrano na prezesa Piotra Obaraka, on tak trochę radykalnie zaczął działać i niektórzy różnie go oceniają, ale jest to uczciwy człowiek i na pewno nie wszedł do zarządu, aby załatwiać tam swoje interesy. Może i pozrażał kilku ludzi do Związku, ale...

Wszystko było skomplikowane.

Dużo pracowałam dla ZPAP do stanu wojennego, to było z potrzeby serca, po nim jakoś czułam dystans do wszystkiego, ci sami ludzie, którzy byli w ZPAMiG-u, teraz wracali do ZPAP, jakby nic się nie stało. Było jakoś nie tak... Czy można było mieć zaufanie do takich ludzi?...

Zawsze udawało mi się robić „swoje”, malować, obok pracy zarobkowej. Nigdy nie ulegałam modzie w malowaniu, zawsze robiłam tak, jak czułam. Staralam się być sobą,

czy to się komuś podobało, czy nie. I z tego jestem dumna.

Nawet sobie myślę teraz – ile ja mogłam zrobić, bo i przecież udzielałam się społecznie. Teraz ciągle brakuje mi czasu, może wolniej pracuję, wiadomo – siły się zużywają.

Teraz młodym jest nietawno, studia są trudne, kosztowne, a gdy się je skończy – co robić, jak się utrzymać? Pracy nie ma, materiały do pracy twórczej są bardzo drogie. Jeżeli przestanie się tworzyć, to człowiek się cofa, zapomina, przestaje się rozwijać. Gdy się chce zrobić wystawę, trzeba szukać sponsorów, a jest to czasem takie żenujące... Ławiej może załatwić coś dla np. związku, dla wspólnoty, ale indywidualnie... To koszmar.

Związek w tych czasach jest potrzebny, bo jest on jakimś centrum, skupiającym tych, którzy tworzą. Taki „nasz” dom. Miejsce, w którym możemy się czasem spotkać, pogadać o problemach, może sobie nawzajem pomóc. Powinniśmy spotykać się częściej, nie tylko na zebraniach. I mobilizować

wspólnie, aby ten związek utrzymać, i tę siedzibę, bo jeżeli ją stracimy – to koniec! Ta siedziba jest takim symbolicznym miejscem, sami ją budowaliśmy i przez tyle lat tutaj skupiało się wszystko, co nas dotyczyło i co nas łączyło. Jeżeli jej zabraknie – to już nie będzie niczego, co nas łączy.

Dyrekcja Zamku ma zakusy na tę siedzibę, ale przecież, gdybyśmy tej budowy nie ruszyli, to może wcześniej czy później spychaczami by te zrujnowane baszty sprzątnięto i nic by tutaj nie było! Powinniśmy mieć z dyrekcją Zamku przyjacielskie stosunki, jesteśmy przecież sąsiadami i nawzajem możemy na tym skorzystać.

Jeżeli chodzi o twórczość – bardzo dużo zła robi komputeryzacja. Profesjonalni plastycy muszą ustępować miejsca amatorom, którzy nie mają wycucia plastycznego, ale mają komputery, tak jest np. w wydawnictwach. Żywa, „ręczna” twórczość przestała być potrzebna, każdy, nawet nie umiejąc malować czy rysować, może zrobić komputerową grafikę. Ja rozumiem, że pewnych rzeczy już bez komputera nie da się zrobić, jest to doskonale narzędzie do montowania tekstu, ale nie do prawdziwej twórczości. Malowanie czy rysowanie jest jak podpis, musi być żywe i autentyczne, nie może być „mechaniczne”. Musi mieć „duszę”.

Nasze obecne polityczne władze, i te w Warszawie, i te tutaj, w Olsztynie, nie interesują się kulturą czy sztuką, nic ich to nie obchodzi. Oni zajmują się tylko tym, ile skorzystają podczas trwania ich kadencji, a co będzie potem – nikt się nie przejmuje!

Związek też powinien odzyskać swój prestiż, swoje znaczenie. Żeby to wszystko, co będzie oznaczone znakiem ZPAP, było gwarancją dobrej jakości.

Uważam, że Biuletyn, który z takim zapalem i tak profesjonalnie wydaje obecny zarząd, jest bardzo ważną inicjatywą...

Życzę Związkowi, żeby odżył, żeby zaczął kwitnąć. Bo tak, jak w naturze – czasem jakieś drzewo więdnie, bo zmienia się klimat i czegoś jest za dużo, lub za mało, ale potem dostosowuje się i rozkwita ponownie, z nową siłą. I wierzę że tak będzie, że ci, którzy teraz pracują w zarządzie, do tego doprowadzą.

*Marię Szymańską
wystuchał Adam Kurlowicz*



Bolesław Marschall

Absolwent Wydziału Rzeźby PWSSP w Gdańsku – dyplom w 1963 roku. Członek ZPAP od 1963 roku. W latach 1967-74 przez trzy kadencje członek Zarządu Okręgu ZPAP w Olsztynie.

W 1982, po chwilowym odwiezieniu ZPAP wybrany na prezesa, funkcję tę pełnił do czasu ostatecznego rozwiązania ZPAP. Od 1972 administrator Zamku w Reszlu. Wykonawca wielu elementów wyposażenia wnętrza siedziby ZO ZPAP.

Bolesław Marschall – Przeprowadziłem się do Olsztyna w 1963 roku, po niemal 20-letnim pobycie w Gdańsku, gdzie osiedliłem się po 1945 roku, tam skończyłem wszystkie szkoły. Koledzy – Mieczysław Romańczuk i Henryk Mączkowski, namówili mnie, żebym się usamodzielniał i przyjechał do Olsztyna, bo jest taki atrakcyjny, nieduży, mało w nim rzeźbiarzy. Dałem się namówić... Było to zaraz po tym, jak obroniłem dyplom na Wydziale Rzeźby PWSSP w Gdańsku.

Przyjmowanie do grona artystów olsztyńskich obrosta już legendą – przede wszystkim trzeba było uzyskać zaproszenie do pana Skurpskiego, być u niego „na wizycie”, to było takie towarzyskie spotkanie, „dobrze widziane”, oczywiście nie Hieronim decydował o przyjęciu, tylko przyglądał się, kto jest kto i opiniował.

Prezesem ZPAP był wtedy Julian Dadlez, związek wynajmował pokój przy PSP na Starym Mieście, na samej górze były też pracownie plastyczne, mieli tam pracownie Gienek Kochanowski i Wiesiek Wachowski, obok mieszkał Ryszard Wachowski, i tam głównie miały miejsce nasze związkowe spotkania, kontakty.

W 1964 roku urządziłem pracownię w Zamku, na międzymurzu, były to wtedy dwie osobne baszty, nie połączone, jak jest to obecnie, dachem, w jednej z nich stróż zamkowy, Pan Grenda trzymał króliki, a w drugiej ja miałem pracownię. Okien nie było, stale pracowałem przy sztucznym świetle, ale, ponieważ pracowałem głównie w kamieniach, to bardziej interesowało mnie międzymurze. Było duże, zamknięte murem, by dużą bramą.

Podwórze było właściwie ogrodem, Hieronim Skurpski uprawiał tam warzywa, od strony muzeum wchodzić można było przez schody, a ja pod murem mogłem sobie ustawić kamienie.

Swego czasu, zimą, trzeba było zrobić nagrobek we Fromborku, dla harcerzy, którzy zginęli tam w czasie sztormu. Wojsko postawiło wielki namiot na podwórze, przy basztach, paliliśmy w dwóch piecach i ja w tym namiocie pracowałem.

W tym czasie była sprzyjająca nam niewielka grupa aktorów w teatrze, dyrektorem był Pan Sewruk, ja miałem szczęście robić jego portret z natury, z modelu. Pan Sewruk często u nas bywał, był z nami zaprzyjaźniony, dzięki niemu udało się uzyskać dla niektórych z nas mieszkania, Hieronim Skurpski do dzisiaj mieszka w domu, który był kiedyś czymś w rodzaju hotelu dla aktorów. W tym budynku, gdzie mieściło się DŚT, na samej górze były także pracownie, samo DŚT zostało założone przede wszystkim przez aktorów i dziennikarzy, tam odbywała się większość spotkań przedstawicieli różnych artystycznych zawodów.

W latach sześćdziesiątych było nas, plastyków, nie więcej niż kilkudziesięciu, głównie koledzy i koleżanki po uczelniach warszawskiej, krakowskiej, wielu po gdańskiej, a także absolwenci UMK w Toruniu.

Może trudno to sobie teraz wyobrazić, ale za Hotelem „Warmińskim” było wtedy szczere pole, i tam, w nowych blokach, które stawiano na obecnej ulicy Kołobrzeskiej, wybudowano nam, rzeźbiarzom, na dole pracownie, na poddaszach natomiast zrobiono pracownie dla malarzy. Przez jakiś czas i ja miałem tam pracownię, pamiętam, gdy chciałem dostać telefon, poszedłem do dyrektora poczty z popiersiem Lenina wykonanym w marmurze, Lenin został odniesiony do komitetu – a ja po dwóch dniach miałem telefon. Były to egzotyczne czasy. Potem nawet tego żałowałem, bo nikt w blokach nie miał jeszcze telefonu, służyłem więc jako pogotowie telefoniczne, ciągle ktoś przychodził, aby zadzwonić po karetkę czy straż pożarną – więcej miałem kłopotów z tym telefonem niż korzyści.

Każdy robił w pracowni swoją sztukę, ale utrzymywaliśmy się przede wszystkim z zamówień – były takie daty jak 1 maja czy 22 lipca, gdy dostawaliśmy zamówienia na oprawę plastyczną jakiejś uroczystości. Każdy robił, co potrafił, ktoś malował portrety,

któs inny plansze. Wtedy PSP były dla nas podstawowym źródłem dochodów, każdy z nas miał rodzinę i musiał ją utrzymać, chociaż podejmowaliśmy i inne prace – ja swego czasu próbowałem być KO-wcem w Klubie Garnizonowym, nie bardzo mi to wyszło, pracy w zasadzie nie było żadnej, a w związku z tym było nudno. Pensja nie była duża, więc zrezygnowałem.

Było też dużo zamówień na pomniki, dla upamiętnienia różnych rocznic, różnych bohaterów, co dla rzeźbiarzy było korzystne. Ja robiłem dość duże realizacje rzeźbiarskie i byłem jednym z niewielu, który kuł w kamieniu. Były to czasy, kiedy nie można było żyć „z wyzysku”, czyli nie mogłem sobie wynająć kamieniarza, który by mi kamień przygotował, z grubsza obkuł, na coś takiego trzeba było uzyskać pozwolenie od ministra kultury. Tak, że przy tak dużym pomniku, jak ten z Alei Wojska Polskiego, który ma 160 ton i zrobiony jest z piaskowca – wszystkie te kamienie musiałem sam obrobić. Dostałem tylko zgodę od ministra, po pół roku starań, na zatrudnienie człowieka do wykonania liternictwa. Sam więc musiałem obsługiwać sprzężarkę, młot pneumatyczny. Bardzo to przeszkadzało w realizacji, bo np. koledzy w Warszawie robili model w glinie 1:1 czy 1:10 i sprawowali tylko nadzór nad realizacją siedząc w krzesle i dyrygując, kto co i jak ma robić – i z tego mieli jeszcze dodatkowo 25 % dochodu od wartości całej roboty – a ja musiałem kuć sam, i mi nie płacono za realizację, tylko za model w gipsie. W tym samym czasie, który ja poświęcałem na wykucie jednego pomnika, można było zrobić i dwadzieścia, robiąc tylko projekty i zlecając komuś realizację. Ale wtedy byłem młody, traktowałem to jako przygodę – i nie narzekałem.

Jeżeli chodzi o siedzibę Związku...

Andrzej Samulowski był pomysłodawcą, był wtedy chyba w Zarządzie Okręgu. Rozdzieliliśmy zadania – Bolesław Wolski, jako architekt zajął się projektem architektonicznym, inni koledzy robili wszelkie prace pomocnicze, ja np. zająłem się wożeniem z Kielc kamienia, marmuru, na posadzkę – zamówiliśmy go w kamieniołomach, inni koledzy zajmowali się kontaktem z firmami budowlanymi, bieganiem po urzędach – trzeba było załatwić pozwolenia, bo nie było tego w planie zabudowy miasta, było to na wewnętrznym podwórku zamkowym.

Towarzyszył nam ogromny entuzjazm, wszyscy podchodzili do tego z dużymi emo-



Przedstawiciele władz zwiedzają wystawę rzeźby na dziedzińcu przy siedzibie ZPAP, 13.10.1970 r. w głębi: Andrzej Samulowski

cjami, bardzo gorąco, opodatkowano się dobrowolnie, każdy przynosił to, co miał, wszyscy pracowaliśmy przy tym, sami robiliśmy wykopy, nikogo nie trzeba było namawiać, prosić, wszyscy interesowali się pracami i chętnie przychodzili. Myślę, że ten entuzjazm był możliwy tylko w tak małym mieście, nielicznym środowisku, jak nasze, w większym mieście coś takiego by się nie zdarzyło, trudniej by było skupić ludzi i zachęcić do wspólnej pracy.

Budowę prowadziły PKZ-ety, z wielkim, osobistym zaangażowaniem Pana Czubiela.

Samego momentu otwarcia dokładnie nie pamiętam. Gdy zaczęły się prace nad budową siedziby, przeniostałem swoją pracownię do nieczynnej wtedy kaplicy na Alei Wojska Polskiego, teraz mieści się tam Kościół Narodowo-Polski, później dostałem pracownię właśnie na Kołobrzeskiej. Na pewno były uroczystości, bankiety, jeszcze przed otwarciem mocno interesował się postępek prac Wydział Kultury UW, przychodzili różni urzędnicy.

Biuro Wystaw Artystycznych mieściło się wtedy w Zamku, nie było tam dużo miejsca, ale zawsze coś ciekawego można było obejrzeć, często nasi się tam wystawiali. Mieli-

śmy też kontakty, wymianę wystaw, z Kalingradem. Gdy uruchomiliśmy naszą galerię, w niej urządzaliśmy wystawy, zaczęło pracować biuro zarządu, można było się spotykać w większym gronie. W siedzibie była też kawiarnia.

Posiadanie własnej galerii w początkowym okresie mocno zmobilizowało środowisko do przygotowywania własnych wystaw, potem zapał trochę ostygł. Galeria to nie tylko miejsce, gdzie można się wystawić, ale też powinna mieć możliwości organizacyjne, aby wystawę porządnie przygotować i sfinansować druk plakatu czy katalogu – tego związek nie mógł zapewnić. Do 1989 roku o sponsorach nie było co marzyć, takie pojęcie nie istniało. Pieniądze można było dostać tylko z Wydziału Kultury. Przestrzeń do wystawiania mieliśmy dość dużą, bo i podwórze mogło służyć do prezentacji np. form rzeźbiarskich, ale potrzebni byli dodatkowi pracownicy do pilnowania ekspozycji, a na to nie było nas stać. Związek utrzymywał się przecież tylko ze składek. Dotacje z Zarządu Głównego były dość liche i starczały na utrzymanie biura, już na galerię nie starczało.

W 1972 roku przeprowadziłem się do Reszla, trafiłem tu w ten sposób, że dowie-

działem się o wakacje na stanowisko administratora zamku. Moja poprzedniczka, pani Hulanicka, przeniosła się do Fromborka i było wolne miejsce – postanowiłem więc spróbować. Tym bardziej, że ciągle nie miałem mieszkania, a miałem już rodzinę. Mieszkanie w pracowni nie było łatwe.

No i po tych prawie 30 latach jakoś brnę dalej. Szczerze mówiąc ta praca ukradła mi strasznie dużo czasu, przestałem zajmować się na co dzień rzeźbą, robię ich nie więcej jak 3-4 rocznie, chociaż zdarzają się i większe akcje. No cóż, jeżeli chodzi o zamek – myślę, że nie przeszkadzam w jego istnieniu... Pracuję tutaj i w noc, i w dzień, jestem dyrektorem i stróżem i zwłaszcza w okresie letnim odwiedza zamek tak dużo ludzi, że muszę czasem uciekać do domu na wsi, aby móc zrobić jakąś rzeźbę. Koszty utrzymania zamku są ogromne, przez cały rok musimy go ogrzewać, więc aby ich nie powiększać, zatrudniamy tylko jedną pracownicę. Bardzo pomagają mi syn i żona.

Ciągle były ogromne zakusy, aby ten zamek przejąć – patrzyliśmy na to w gronie przyjaciół artystów z łękiem, czy nie przejmie go ktoś lub jakaś instytucja, która zmieni jego charakter, zniszczy go.

Zawsze dążyliśmy do tego, aby w zamku była dobra galeria. Reszta jest oczywiście daleko od dużych środowisk, mimo to udało nam się zachęcić do pokazania tutaj swoich prac, nie chwając się, wszystkie największe nazwiska w Polsce – na co dzień mamy Starowieyskiego, wkrótce będzie druga już wystawa profesora Myjaka, który zresztą niedaleko stąd ma swój dom, wielu artystów się tu pojawiło i zostawiło swoje ślady. Udaje nam się dobrze współpracować z Muzeum Warmii i Mazur – bo jest to galeria muzeum, które dzieliławi pomieszczenia w reszelskim zamku.

ZPAP zawieszono na początku stanu wojennego, ale chyba już w połowie 1982 roku na krótko go odwieszono. Szybko zrobiliśmy wybory i zostałem wybrany na prezesa. Pojechałem do Warszawy na posiedzenie Zarządu Głównego, wtedy ZG składał się z prezesów Zarządów Okręgu. Mielśmy zaraz potem jechać na Walny Zjazd ZPAP do Krakowa, ale tuż przed wyjazdem dowiedzieliśmy się, że ZPAP ostatecznie rozwiązano. Musieliśmy więc wrócić do Olsztyna, oddać klucze, dokumenty, pieczętki. Czekał już na nas komisarz, pomieszczenia biura i galeria zostały zamknięte, zaplombowane.

Czynnie udzielałem się w pracach ZPAP do stanu wojennego i rozwiązania Związku. Potem przestałem się angażować, wydawało mi się, że ja już nie pasuję do nowej sytuacji, pojawiły się różne stowarzyszenia, czasem bez jasnego regulaminu, wiedziałem, że jestem już na tyle dojrzały, że sobie jakoś poradzę.

A po stanie wojennym przyszło wielu młodych kolegów, którzy przejęli inicjatywę, i chyba z dobrym skutkiem.

Patrząc na obecną sytuację środowiska plastycznego i ZPAP, myślę, że trzeba by wrócić do dobrych tradycji stopniowego przyjmowania do Związku, poprzez kolejne nadawanie tytułów członków nadzwyczajnych, rzeczywistych – aby uczynić Związek stowarzyszeniem bardziej elitarnym, do którego może oczywiście należeć każdy, ale po spełnieniu określonych warunków. Jest to przecież stowarzyszenie gromadzące ludzi, którzy zajmują się sztuką, profesjonalistów, chęć członkostwa musi powodować jakieś efekty w postaci rozwoju artystycznego, powinna być nobilitacją, zaszczytem, powinno się na członkostwo w ZPAP zapracować, nie otrzymywać go automatycznie, po skończeniu uczelni. A i członkostwo ZPAP powinno mobilizować do wysiłku, tak, jak to jest w karierze naukowej, gdy trzeba co pewien czas wspinać się na wyższy szczebel. Związek powinien mieć możliwość nadawania tytułów i przywilejów, ale i odbierania, gdy ktoś obniży poziom artystyczny swojej pracy. Kiedyś istniała w związku Rada Artystyczna, która czuwała nad poziomem np. organizowanych przez Związek wystaw, czy innych akcji firmowanych przez ZPAP – składała się najczęściej z dobrych, znanych artystów – taką Radę powinno się przywrócić do życia. Powinna ona mieć wpływ także i na poziom estetyczny np. tych realizacji plastycznych, które pojawiają się na mieście. Oczywiście, aby nie było kumoterstwa, Rada taka powinna dość często zmieniać swój skład, aby każdy członek Związku mógł w niej uczestniczyć.

*Bolesława Marschalla
wysłuchał Adam Kurtowicz*



Edward Jurjewicz

Absolwent Wydziału Rzeźby PWSSP w Gdańsku. Należy do ZPAP od 1968 roku. W latach 1983-89 członek ZAR O/Gdańsk.

Aktywnie uczestniczył w pracach przy budowie siedziby związku, wykonawca mebli i innych elementów wyposażenia wnętrza.

Edward Jurjewicz — Moja rodzina pochodzi z kresów, jeszcze w Nowowilejce chodziłem do przedszkola. Gdy tu przyjechałem, miałem 6 lat. Może dlatego czasami, jak coś mówię, słychać w tym ten miękki akcent zdradzający ludzi stamtąd, ktoś czasem o mnie mówi, że „on zaciąguję”. Ta melodia języka została gdzieś w podświadomości. Ten język jest płynny, piękny, serdeczny, ja go kocham. Lubię słuchać Władimira Wysockiego czy ruskich cyganów – i nie ukrywam tego. Mój dziadek uważał, że jestem uzdolniony muzycznie i musiałem jeździć do dyrygenta Truszczyńskiego, u którego brałem lekcje skrzypiec, ale koledzy walili mi piłką w ścianę i mówili – co ty, głupi, na skrzypcach grasz! Przez zawiść, bo nie mieli skrzypiec albo stuchu. Śpiewałem w chórze, nie mówię, że mam stuch, ale pewnie mój głos był słyszalny, chociaż nigdy nie byłem solistą. Śpiewaliśmy w Hajnówce, w cerkwi prawosławnej, było to dla mnie piękne przeżycie, nawet dostaliśmy nagrodę.

W Mołodecznie został dom dziadka Bolesława, ładny kawał ziemi, staw, ule. Mego ojca, który przed wojną był naczelnikiem poczty, Rosjanie chapnęli w Rydze i pogonili do Katynia, miałem wtedy 9 miesięcy, i za to tylko, że byliśmy Polakami. Po drodze pijani ruscy ludzie pomylili transporty i mój ojciec wylądował w Archangielsku, tam odsiedział dwa lata. Żeby Anders go stamtąd nie zabrał, nie znałbym ojca.

Ojciec był u Andersa, zdobywał Monte Cassino, tam dostał w łeb, w Ankonie był w szpitalu, później dostał się do Anglii. U Andersa służył w takiej jednostce do specjalnych poruczeń, szedł tam, gdzie diabeł się bał iść. Szanowali go, miał wielu kolegów – był dobrym człowiekiem.

W 1946 roku stary przyjechał „Batorym” do Polski, odnalazł nas wiosną, na Wielkanoc, bo my tymczasem, po tym jak nas ruscy wy-

rzucili, osiedliliśmy się w Olsztynku. Najpierw rzucili nas do Gdyni, ale dziadek, Józef Waraksa, powiedział, że on tam nie chce, osiedliliśmy się więc w Olsztynku, tu chodziłem do szkoły podstawowej. A ja byłem tak nauczony, przez babkę, matkę, żeby nie mieć do nikogo zaufania, bo byliśmy skrzywdzeni przez ruskich, a wiadomo, ludzie różni są, naiwność dziecka ktoś może wykorzystać – więc gdy ojciec przyjechał, to ja starego nie wpuściłem do domu! On mi mówi – ja jestem twoim tatusiem, ja na to – w porządku, przyjdzie mama, wtedy będziemy rozmawiali.

Byłem taki jak inni, tylko może trochę szybszy, miałem więcej „szybszych” pomysłów – w 1948 roku niewypała oberwał mi paluchy, wynikało to z głupoty, ze szczeniactwa, trochę mi to przeszkadzało, ale jakoś się przyzwyczaiłem i praktycznie tego nie odczuwam.

Skończyłem podstawówkę, koledzy jechali zdawać egzaminy do zawodówki, to z nimi pojechałem, też zdałem, skończyłem olsztyńską „Sorbonę”, tak śmiesznie się nazywała, zdobyłem zawód ślusarza narzędziowego. W międzyczasie pochodziłem sobie przez rok do handlowki, żeby zobaczyć, jak się klasyfikuje owoce, warzywa, jaka jest technologia wypieku chleba, albo jak się cegłę robi, bo technologia była przemysłowa i spożywcza.

Przeszedłem twardą szkołę życia, człowiek musiał być twardy, bo inaczej – kapliczka! Kolejne losy były różne i ja się tego nie wstydzę. Trzeba było to przeżyć. Człowiek nie powinien się wstydzić siebie, ani swojego pochodzenia, potem człowiek bierze sobie te szlify generalskie według własnego uznania.

Każdy człowiek rodzi się z talentem, i wszystko zależy od tego, jak pokieruje swoim życiem, czy wytrzyma, czy nie wytrzyma.

Po skończeniu zawodówki, wyjechałem do Szczecina, uczyłem się w Liceum Plastycznym, w kamienicy Loitzów na Starym Mieście. Wokół jeszcze były gruzy, tylko ta kamieniczka była cała. Było mi daleko, gdzie Olsztynek, gdzie Szczecin!

Skończyłem liceum i ktoś powiedział – jedziemy zdawać do Gdańska! Pojechało jedenastu, zdało dziesięciu, byliśmy wszyscy przygotowani jak skurczybyki, mieliśmy w szkole takiego, Antoni Wróbel się nazywał, mówiło się, że skurwiol, bo nas męczył, dawał nam w dupę, ile wlezie, jeżeli chodzi o rysunek. Chłopaki po Szczecinie mają do rysowania smykałę, jak rzadko. Ja mam la-

twość kreski, umiem szybko rysować, zdobywałem medale we Francji. Wróbel wymagał od nas sześć szkiców tygodniowo, po zajęciach, ścigali nas, pały wstawiali, ale to wszystko potem procentowało przy zdawaniu na studia. Rysowaliśmy tak, że nam tylko papiery spadały!

No więc dostałem się. Na pierwszym roku byłem w pracowni Franciszka Duszeńki, na drugim roku mogliśmy już sami sobie wybrać pracownię, ja wybrałem Alfreda Wiśniewskiego. Oprócz rzeźby mieliśmy dodatkowe dyscypliny, np. projektowanie rzeźbiarsko-architektoniczne. Profesor Adam Smolana zaproponował mi w którymś momencie: panie Edwardzie, czy pan nie chciałby u mnie trochę popracować? To nie było „trochę”, tylko ja musiałem czasem po nocach zapierdalać, bo on miał terminy, wykonywał jakieś prace, ja byłem jego prawą ręką, miałem klucze od pawilonu przy Grand Hotelu w Sopocie, mogłem tam wchodzić i wychodzić, kiedy chciałem. Byłem traktowany bardzo poważnie przez profesora Smolanę, jestem mu cholernie wdzięczny, nauczył mnie wielu pięknych, wspaniałych spraw, porządek roboty – tego, że człowiek musi być pracowity, odpowiedzialny, terminowy, bo jak ma być odstonięcie, to nie można zrobić roboty po odstonięciu, że trzeba robić bez szarpanki, bez sraczkii, bez nerwów.

Po studiach wróciłem do Olsztynka. Zapisalem się do ZPAP w Olsztynie.

Oczywiście, gdzie chodzili koledzy artyści – plastycy, muzycy, aktorzy – do Domu Środowisk Twórczych. Gdy poszedłem tam pierwszy raz, żeby zrobić dobre wrażenie, zamówiłem całą tacę „harceryków”, wtedy była moda picia wódki z małych kieliszków, takich 25-tek, przychodzę, mówię – dzień dobry, przyjechałem z Gdańska, czy mogę przysiąść się do Państwa, by z Wami wypić, ale idąc zaczępiłem nogą o dywan i wypierdoliłem się, byłem tak przejęty rolą, chciałem ładnie wypaść, chciałem zrobić takie wejście teatralne, no i mi się noga powinęła, taca mi wypadła, to się wszystko wysypało, zakląłem siarczyście, wstałem, powiedziałem – Pani Nineczko, proszę jeszcze raz to samo. Pierwsze podejście było spalone, ale znalazłem się, zamówiłem jeszcze raz, no i było dobrze.

Bardzo sympatycznie wspominam, nie zapomnę tego człowieka, to był Heniek Mączkowski, człowiek, który mi podał rękę. Bo ja często przychodziłem do DŚT. Klub był

zamykany o godzinie 24-ej, więc ja wybiegałem z klubu i drałowałem na pieczętę koło zamku, na skrót, aby zdążyć na ostatni pociąg z Zachodniego do Olsztynka. I tak przez kilka miesięcy. I w końcu Heniek Mączkowski, który miał pracownię nad DŚT, powiedział mi: chłopie, ty się zabijesz z tym bieganiami! Mówi – tu jest łóżko, śpij. Zaczęliśmy razem pomieszkiwać, kupę robót razem zrobiliśmy, był zdolnym malarzem, wspaniałym człowiekiem, bardzo dużo się od niego nauczyłem. Nauczyłem się od niego, jak być człowiekiem; ta jego łagodność, jego serce, jego wrażliwość...

Spędzaliśmy kupę czasu i z innymi – ze Zbyszkim Piłatem, Michałem Sawaniukiem, Mirkiem Smerkiem, Arturem Nichthouserem, Gienkiem Jankowskim, Mietkiem Romańczukiem. Jak ktoś miał imieniny, wszyscy byli zapraszani. Nie było nas z początku dużo, kilkudziesięciu może. Kilku było partyjnych, ale to nikomu nie przeszkadzało. Chociaż uważam, że ktoś, kto pracuje w takim zawodzie jak nasz, nie powinien się rozdrabniać na politykę, zadawać z jakąś partią, trzeba robić swoje, niech inni rządzą światem.

Spółdzielnia mieszkaniowa wybudowała nam pracownię, byliśmy potrzebni temu miastu, szanowani przez ludzi. Teraz sytuacja się odmieniła, w naszym zawodzie różnie bywa, raz są pieniądze, raz nie ma, czasem bywają zaległości z czynszami. Teraz nas administracyjnie niszczą, straszą, że wyrzucą na zieloną trawę.

Potem zaczęło się budowanie tej siedziby. Nasz starszy kolega, Bolek Wolski, zrobił projekt. Działo się to na zasadzie przyjacielskiej akcji. Była fajna, zgrana wiara, kochaliśmy tę robotę, chcieliśmy bardzo mieć swoją siedzibę, biuro, galerię. Ja robiłem meble do siedziby, stoły z brzozy.

Pamiętam, jak przywieźli marmur, płytki na podłogę, przyjechał ogromny samochód z przyczepą, myśmy to wszystko znosili, na własnych brzuchach, bo nie można było tego na zewnątrz zostawić, zostało by to zaraz podpieprzone. To był taki piękny materiał! Brama została zamknięta, Grenda pilnował, z kijem chodził, aby nikt nam tego nie zabrał.

Całą tę atmosferę trudno jest opisać słowami, to były emocje, to była chęć do pracy. Tworzyliśmy taką fajną rodzinę.

Siedziba powstała, było uroczyste otwarcie. Szczerze mówiąc, to tych uroczystości było kilka, i nie pamiętam już, która była najważniejsza – były rozdawane medale, były ja-



Przy lampce koniaku, 13.10.1970 rok. Od lewej: Andrzej Samulowski, Prezes ZG ZPAP Stefan Gierowski, Wicewojewoda Walter Późny, gość z Bułgarii, przedstawiciel KW PZPR, I Sekretarz KW PZPR Tadeusz Białkowski, z prawej: Henryk Panas

kieś wernisaże. Najważniejsze było, że mogliśmy się już tam spotykać. Bardzo się tym cieszyliśmy, trochę nam nie wyszło z kominkiem, dymił, paliliśmy w tym kominku, śmierdzieliśmy dymem, ale nikomu to nie przeszkadzało – szukaliśmy okazji do bycia razem.

Czasami były konflikty, może i ktoś komuś po dziobie dał, ale już następnego dnia się przepaszali – to nie było najważniejsze, szanowaliśmy się nawzajem.

Były to dobre czasy dla nas, finansowo, co niektórzy do dzisiaj nam to wypominają, że za komuny, to pierdolnąłeś Lenina i były pieniądze. To nie jest tak. Były, ale nikt ci ich nie sypał z worka za nic, musiałeś się napracować. Były przydziały prac, żeby wszyscy mieli jednakowo, żeby każdy mógł żyć.

Nie ma co nam wymawiać – chcieliśmy kapitalizmu, to go mamy – kto jest bardziej beczelny i bardziej przebojowy, i rwie, ten ma. Kto jest mniej zaradny, no to automatycznie... Selekcja naturalna. Kupa ludzi się męczy, założyła sobie sznurek na szyję, nie wytrzymała finansowo, niektórzy wyskoczyli przez okno z któregoś tam piętra...

Czasem przychodzą człowiekowi różne dziwne myśli do głowy, ale ja mam odpowiedzialność, ja mam matkę, która ma 86 lat, ja mam córkę Paulinę, którą kocham, mam

wnuczkę, ja głupot nie mogę robić, muszę starać się jakoś żyć i w miarę swoich możliwości im pomóc.

Na początku żyło się dość dobrze, ale to się skończyło i zaczęło być kiepsko. Było coraz mniej pracy, ludzie nas mniej szanowali – tak nie powinno być, bo każdy zawód jest potrzebny. Nie mówię, że my tworzymy wielką, dużą sztukę, ale coś się robi, coś po nas zostaje. Nie każdy jest Van Goghciem czy Henry Moorem, ale robimy to, do czego zostaliśmy przygotowani, co umiemy robić to dobrze, a jak jest coś porządnie zrobione, to – każdy to czuje – to musi się podobać. Nie mówię, że my mamy jakiś tam talent dany od Boga, bo może to takie pieprzenie, ale coś tam w nas drzemie. I dobrze, że tak jest.

I było dobrze. Aż nastały te kurewskie czasy – stan wojenny, zaczęli nas dzielić. Powstawały różne branżowe związki. Zaczęli nas szpiegować, podejrzewać, że my z Zachodem współpracujemy, posądzali o jakieś kontrwywiady. Ja owszem, byłem w Niemczech, ale nic złego nie zrobiłem. Machnąłem tam robotę, za którą dostałem pieniądze i przywiozłem je do Polski, wydałem je w Polsce, ja ich przecież nie wyrzuciłem!

Ja sobie chwałę ten wyjazd, przy okazji zwiedziłem trochę świata. Baron, u którego

pracowaliśmy dawał nam na weekend po sto marek, to nie było mało, mieliśmy do dyspozycji samochód, wsiadaliśmy w ten samochód i jechaliśmy do Belgii, Holandii, do Francji zobaczyć, jakie witraże piękne Chagall zrobił w katedrze w Reims. Dobrze jest zobaczyć, co inni robią – coś tam w główce zostaje.

Pracowałem przez 8 lat na WSP, prowadziłem rzeźbę z I rakiem, tam mi się nie powiodło, miałem otworzyć przewód w Gdańsku, ale nie zostałem dopuszczony. Potem zaproszono mnie do Liceum Sztuk Plastycznych, no i tam do dzisiaj dzieciaki uczę.

W tym roku skończyłem na ASP w Poznaniu studium pedagogiczne, mam dyplom. Ja sam siebie podziwiam, że w tym wieku mam jeszcze tyle w sobie pary, aby samemu się uczyć.

Robiłem dużo rzeźb, bardzo dużo, i tak, jak to jest w twórczości – nie wszystkie rzeczy ci się udają... Mam dużo realizacji, na których chyba się sprawdziłem, ale jakoś za swoją wystawę trudno mi było się zabrać. Ja się wstydzę siebie, jeżeli mam pokazać jakąś swoją rzeźbę w gipsie, że mnie nie stać na to, abym ją odlał w brązie czy wykuł w porzadnym marmurze. Jestem za biedny, aby przygotować porządną wystawę.... Moja wystawa, to te wszystkie realizacje, które stoją w różnych miejscach w Polsce i na świecie. Nie jestem najgorszy, nie jestem też najlepszy, mieszczę się w środku. Znam swoją wartość, ale nie jestem zadufany.

Ale najpierw trzeba być człowiekiem, później artystą. A ja jestem prawdziwym człowiekiem, nie udaję nikogo, kim nie jestem, żadnych cacy-cacy, pucu-pucu, jak trzeba, przywalić potrafię, ale szczerzy jestem, nikomu świństwa nie zrobiłem i nie zrobię.

Teraz do związku nie należę, ale do niego wrócę, bo to jest mój związek. Moja legitymacja ZPAP ma numer 4578, a to coś znaczy. Myślę, że Marek Kłos i ci, co z nim pracują robią dobrą robotę - są Biuletyny, jest pełna informacja, wiemy, co dzieje się w środowisku.

Jestem tutaj już ponad 30 lat i nic złego nie mogę powiedzieć ani na związek, ani na swoje koleżanki czy kolegów. Szkoda tylko, że nie mamy czasu, aby częściej się spotykać wszyscy razem, jak to kiedyś bywało...

*Edwarda Jurjewicza
wystuchał Adam Kurłowicz*



Wiesław Kaczmarek

Absolwent Wydziału rzeźby PWSSP w Gdańsku – dyplom obronił w 1965 roku, od tego też roku należy do ZPAP. Pełnił funkcję Przewodniczącego Sekcji Rzeźby w Okręgu Olsztyńskim

ZPAP. W latach 1983-89 członek Związku Artystów Rzeźbiarzy O/Gdańsk. Posiada uprawnienia Rzeczoznawcy d/s Rzeźby przyznane przez MKiS.

Wykonawca mebli i innych elementów wyposażenia siedziby ZO ZPAP w Olsztynie.

Wiesław Kaczmarek — Sprowadziłem się w 1965 roku do Olsztyna rezygnując z asystentury na uczelni w Gdańsku. Plastyków tutaj było niewiele, ale było kilku kolegów z Gdańska – Baśka Lis-Romańczuk, Mietek Romańczuk, Heniek Mączkowski, teraz już świętej pamięci, Bolek Marschall i Heniek Oszczakiewicz.

Człowiek był młody, nierozeznany, pełny ambicji, a starsi koledzy trzymali się razem i traktowali nas z pewnym dystansem. Jedyłą firmą, przez jaką można było dostać pracę było PSP, i oni na tym PSP trzymali łąkę. Pracy w tym czasie było pod dostatkiem, można było przebierać, jak w ulegalkach.

Moja pierwsza robota, jaką dostałem, tego nie zapomnę, wcale nie była związana z rzeźbą. W Komitecie Wojewódzkim zmarł jakiś kacyk. I nikt z tych starszych kolegów nie chciał robić świeckiego wystroju kaplicy w Domu Przedpogrzebowym przy Szpitalu Miejskim, skąd mieli wyprowadzać zwłoki. Tam wisiał obraz święty, krzyż – i trzeba było to na „świecko” zrobić. Zapytali mnie w PSP, czy ja bym tego nie wykonał. Dlaczego nie? Oczywiście – mówią mi – o pieniądze się nie rozchodzi.

Robiłem to trzy godziny, szare płótno, biało-czerwona flaga, złamana róża – bardzo im się to podobało, i fakt, zarobiłem niezłą sumkę. Zapłacili od ręki.

Jako rzeźbiarz miałem dużo roboty. Zaczynałem w spółce z Bolkiem Marschalem, ale wiedzą jaskółki, jak wychodził spółki, więc po roku odszedłem. Ale wdrożyłem się trochę i zacząłem robić pomniki.

Do ZPAP zapisałem się zaraz po sprowadzeniu się do Olsztyna, związek mieścił się przy PSP, składało się dyplom, zostałeś zare-

jestrowany jako członek nadzwyczajny, ale żeby stać się tzw. członkiem zwyczajnym, trzeba było wykazać się działalnością. Uzwyczajniali w Warszawie. I uważam, że to była dobra historia. To mobilizowało do pracy. Musiałeś się rozwijać, bo w Warszawie stawiali dość ostre warunki. Nie każdy się „uzwyczajniał”. Jak byłeś tym „szarym” członkiem, to nie miałeś praw, nie mogłeś być do władz wybranym. Wtedy tych rzeczywistych członków było niewiele, bo pamiętam, jak na pierwszych wyborach, w których uczestniczyłem, jeszcze wtedy bez prawa głosu, to brakowało ludzi do obsadzenia zarządu. Zebrania odbywały się w nowootwartym DŚT, na ulicy Mickiewicza.

Wtedy dużo mówiło się o metaloplastyce w Olsztynie, że Skalski, Wolski i był jeszcze taki kowal, Borkowski, robili na niej straszny szmal. A wtedy, na tym zebraniu zobaczyłem starszego człowieka, był to właśnie Skalski, który nie miał nawet 50 groszy na szatnię. Był to dla mnie szok. Stary, trzęsący się człowiek, kiedyś bogaty, a teraz... Ekipa się rozsyłała i stary został na lodzie.

Związek wciąż pałętał się przy PSP. Tymczasem Czubieli dał nam, Marschallowi i mnie, a potem doszedł Edziu Jurjewicz, do używania na pracownię tę zrujnowaną basztę na dolnym dziedzińcu. Przedtem tam Grenda, taki gospodarz administracyjny pracujący w Muzeum, hodował króliki. To był 1965 rok. I my tam byliśmy chyba do 1969 roku, gdy rozpoczęto budowę. Latem najczęściej wykorzystywało się podwórko, właściwie od wiosny do późnej jesieni, zimą siedzieliśmy w środku, chociaż nie było to dobre pomieszczenie do robienia rzeźby.

Ale wtedy już zarząd zaczął kombinować, że trzeba by mieć własną siedzibę. Dużą rolę w tym odegrał Andrzej Samulowski. On był motorem całego przedsięwzięcia. On miał taki charakter, że jak się do czegoś przyjął, to nie popuścił. Tak mężczyźni, tak dręczył, aż załatwił. Był bardzo skuteczny. Ale w tym jest też wielka zasługa Czubiela, Konserwatora Wojewódzkiego. Był to chimeryczny człowiek, zadufany w sobie, ale dużo od niego zależało. Artyści wycierali mu posadzkę. I to on dał środki na naszą budowę.

Bolek Wolski zrobił projekt.

Opodatkowaliśmy się wszyscy, to było chyba 2% od dochodu, były to dobrowolneskładki na budowę i wszyscy do tego przystąpili.

Pracowali wszyscy plastycy. Była inna, niż teraz atmosfera. Byliśmy bardzo zżyci, nikt się nie wyłamywał, jak trzeba było coś zrobić, przychodzili wszyscy i robili. Było wtedy wielu młodych ludzi, którzy narzucali ton. Nie było darcia się ze sobą. Rzeźbiarze robili meble, cały komplet wyposażenia, zydle, ławy – nie wiem, co się z tym stało, bo już tego w siedzibie nie widzę. Malarze malowali ściany. Sami rozbieraliśmy stare fundamenty, kopaliśmy dołki pod dreny. Hubert Maciejczyk, Bolek Marschall, Edziu Jurjewicz i ja zrobiliśmy cały komplet mebli do wnętrza. Kilkanaście stołów, zydli, ławy. Granitową tablicę z nazwą związku robiliśmy razem z Hubertem. Zosia Hudyka robiła drewniane rzeźbione klamki na drzwiach.

Gdy oddawano siedzibę funkcję prezesa pełnił Mietek Romańczuk. Sama uroczystość była sucha i sztywna, bo wszyscy byli spięci tym, że przyszło tyłu oficjeli, a zwłaszcza tym I Sekretarzem Białkowskim. Przyszedł też Wicewojewoda od spraw kultury, Chadziewicz się nazywał. Było bardzo oficjalnie.

Mieliśmy już siedzibę, związek stał się bardziej prężny, zaczęliśmy być bardziej aktywni. Biuro pracowało na okrągło, oprócz pani Wandy zatrudniano jeszcze dwie pracownice.

Powstała Sekcja Rzeźby. Wcześniej była tylko Sekcja Malarstwa, do której należeli też graficy. Pościągałem rzeźbiarzy z regionu, dopingowałem, aby się uzwyczajnili, bo musiało być conajmniej 12-tu członków rzeczywistych, aby mogła sekcja powstać. Bo już jak była sekcja, to my, rzeźbiarze, mieliśmy swoją reprezentację w Zarządzie Głównym, dostawaliśmy też większe przydziały materiałów, które wtedy były limitowane. Tworzyliśmy zwartą i zżyłą grupę. Jak robiliśmy zebrania, nie było sztywno. Zawsze stała półoweczka. Była to taka towarzyska rozmowa, co zamierzamy, każdy wylał swoje żale.

Zaraz zorganizowaliśmy plener rzeźbiarski w Iławie. Ogólnopolski – przyjechali koledzy z Wrocławia, z Warszawy, z Krakowa. Plener prowadził Hubert Maciejczyk. To był bardzo dobry plener. Wszyscy dostali wikt i opierunek i po 25 tysięcy do kieszeni. To były pieniądze! Był z nami taki docent, który takich pieniędzy nie zarabiał przez dwa miesiące pracy na uczelni. Wszystkie materiały i narzędzia dały zakłady, mieszkaliśmy w dwuosobowych domkach nad Jeziorakiem. Finansował to Urząd Miasta w Iławie. Kapitalne warunki! Należało tylko zostawić rzeźbę. Jeszcze do dziś niektóre z tych prac

stoją w parkach. W ogóle, naszemu okręgowi to nawet Warszawa zazdrościła.

Przez te ostatnie lata przed stanem wojennym, to na nasze władze nie mogliśmy narzekać. Tak jak o plastyków dbano, to nie dbano o żadnych innych. Dawali pracownie, spółdzielnie umarzały czysze, pomagali nam jak mogli. I Wydział Kultury i Komitet też. Kierownikiem Wydziału Kultury był Karpowicz, a I Sekretarzem KW był Wojnowski. Bardzo równy facet. A od spraw propagandy w Wydziale Kultury był Baltroczyk. Był jeszcze Lonia Serbintowicz. Plastycy im zawdzięczają bardzo dużo. I naprawdę było mi przykro, gdy jak komuna padła, nasi koledzy zaczęli tych ludzi nie znać, odsuwać się od nich. Niektórzy to jeszcze do tej pory żyją dobrze z tego, co wtedy dostali. Mieszkania na Starym Mieście otrzymali za darmo, a teraz sprzedają za grube pieniądze.

Gdy ja tu przyszedłem, to ci partyjniacy, to byli jeszcze tacy z okresu stalinizmu, wystarczy, że umiał się podpisać, ale potem to już byli ludzie wykształceni, kulturalni. I chcieli, żeby Województwo Olsztyńskie liczyło się w Polsce. Inwestowali w nas. Życie kulturalne kwitło. Oni nas faworyzowali, bo to my obsługiwaliśmy wszystkie państwowe święta, różne zjazdy, uroczystości. Trzeba było udekorować, to robiliśmy. Był to obopólny interes. Było dobrze do czasu, gdy jak to Dezor mówił – zaczęły rządzić szmal i kasa.

„Plastyka” powstała dlatego, że my w PSP nie mogliśmy ujechać. Starsi koledzy traktowali nas jak wyrobników, a księgowy Pan Rutkiewicz, który zajmował się wszystkimi plastykami robił nas w trąbę.

I funkcjonowała dobrze. Oczywiście, zawsze są niezadowoleni. Ale trzeba powiedzieć prawdę, byli koledzy, którzy potrafili zrobić chałturę, byli tacy, którzy nie potrafili.

W PSP zostali sami starszakiowie. Młodzi przeszli do „Plastyki”. Roboty było w bród. Obsługiwaliśmy trzy województwa. A jak były dożynki w Olsztynie, to tylko limity przyhamowały zarobki. Było zatrząsienie zleceń. Nie można było tego przerobić. Nawet gdyby nas było dwa razy więcej, starczyłoby dla wszystkich. Ale już się coś zaczęło psuć. Socjalizm też się psuć powoli. Zasady etyki zawodowej zniknęły.

Jak ogłosili stan wojenny to ZPAP, jak i inne wolne związki, został zawieszony. Komisarzem do spraw likwidacji był niejaki Oniszczuk z Wydziału Kultury. Wpadli do biura, zrobili inwentaryzację, oplombowali

dokumenty. Nie było związku, ale firmy, takie jak „Plastyka” istniały nadal. Tam się spotykaliśmy z kolegami.

Zaraz potem Andrzej Samulowski, Mirek Smerek, Artur Nichthaus, powołałi ZPAMiG. Koledzy zaczęli ich nazywać „czerwoni”. Ale ja uważam, że w stanie wojennym ten ZPAMiG zrobił dobrą robotę, bo inaczej naszej siedziby już byśmy nie mieli. Jakby oni tam nie weszli, to by ją nam albo zabrało Muzeum, albo swoją łapkę na tym położyłaby Pani Krysia i ta siedziba już nigdy do związku by nie wróciła. Została zachowana ciągłość naszej obecności. I został uratowany majątek.

Powstał ZAR, Związek Artystów Rzeźbiarzy, ja wstąpiłem do tego związku w Warszawie, bo w Olsztynie nie było tylu rzeźbiarzy aby taki związek zakładać. Po roku przerzucili mnie do Gdańska. Ale to już nie było to, co ZPAP.

W ogóle, że te związki powstały, to zawinił Zarząd Główny ZPAP. Bo tam zawsze prym wodzili malarze. Sekcja Malarstwa była największa i te inne sekcje były dyskryminowane. Rzeźbiarze od dawna walczyli, żeby mieć większe prawa. No i jak nadarzyła się ta „okazja”, że ZPAP został rozwiązany, to zaraz powstały różne „branżowe” związki, w tym ZAR też.

No a potem komuna upadła i powrócił ZPAP. Było takie zebranie, zostali na nie zaproszeni wszyscy członkowie Związku. I wtedy Janusz Kompowski, ale właściwie nie wiem dlaczego, bo nie był wtedy ani prezesem, ani w zarządzie, razem z Bołkiem Wolskim, ogłosili, że będzie weryfikacja. I że to oni będą weryfikować. I przeważnie tych byłych ZPAMiG-owców. Ja powiedziałem, co o tym myślę i wyszedłem. I przestałem być w Związku. Wtedy większość wyszła z tego zebrania. Od tego czasu ja już z ZPAP nie miałem nic do czynienia.

To miało podłoże polityczne, to miała być zemsta – no, teraz my wam pokażemy!

Ja próbowałem wrócić do Związku, ale jak mi kazano pisać jakieś oświadczenia, deklaracje, to powiedziałem – kochani, ja z tego Związku nigdy się nie wypisywałem. Nikt też mnie z niego nie wyrzucił. Ja już w 1965 roku taką deklarację złożyłem!

To, że dzisiaj ZPAP kuleje, to dużo jest w tym winy PRL-u, ale i nas samych. PRL kołysał nas w kołysce i był High Life. A teraz połowa naszych kolegów leży na bruku. Nikt nie myślał o tym, aby się zabezpieczyć. Ilu na ZUS nie płaciło, a teraz brakuje im lat do emerytury, kto o tym myślał!

Tym bardziej teraz Związek powinien być silny, zintegrowany. I liczny, żeby miał siłę przebicia. Że jak zarząd pójdzie do władz, to żeby było jasne, że reprezentujecie stu profesjonalnych artystów, a nie grupę koleśków. Ale nie może każdy w swoją stronę ciągnąć i na swoją melodię grać. Trzeba grać razem. A zarząd po to jest wybierany, żeby występował i decydował w sprawach, które są dla plastyki ważne.

Związek musi być silnym partnerem dla miasta, województwa. I powinien też mieć wpływ np. na to, kto uczy sztuki na Uniwersytecie. Trzeba nawiązać kontakty, zaproponować współpracę.

Teraz młodzi nie garną się do Związku, bo może myślą, że im to nic nie da. Ale jak się zorientują, że w tym Związku się działa, że jest on siłą, i że można na niego liczyć, to będą się pchali oknami. A jeżeli Związek będzie miał znaczenie i poważanie, to każdy będzie wiedział, że bez niego

sam nic nie znaczy. Kiedyś była Rada Artystyczna, i to były bardzo dobra historia. Podnosiła poprzeczkę. Musiałeś się wysilać, starać się być lepszym.

A jak zacząłem dostawać Biuletyny i przeczytałem, że Marek Kłos jest prezesem, to pomyślałem sobie – to porządny chłopak. Może on ten Związek sklei. I mam taką nadzieję. I nie dla siebie, bo ja już jestem stary człowiek, ale dla tych młodych, którzy są teraz sami, na bruku.

*Wiesława Kaczmarka
wystuchali Marek Kłos
i Adam Kurlowicz*

Przed siedzibą — 1970 rok. *Od lewej: Mieczysław Romańczuk, Julian Dadlez, Krystyna Chromy-Sowińska, Maria Delikat, Michał Sawaniuk, Eugeniusz Jankowski, Barbara Lis-Romańczuk, Sylwin Mydlak, Wiesława Pasik, Ryszard Wachowski, Eugeniusz Kochanowski, Zofia Hudyka, Mirosław Smerek, Bożena Jankowska, Artur Nichthaus, Zbigniew Żukowski, Wiesław Wojczulanis, Aleksander Wydorski.*



Raport o sytuacji siedziby Zarządu Okręgu ZPAP w Olsztynie

Dla określenia sytuacji i stanu obecnego siedziby ZPAP w Olsztynie, należy sięgnąć do lat sześćdziesiątych.

Ze względu na znaczny okres czasu, zmieniającą się sytuację i problemy z tym związane, należy podzielić ten okres na kilka etapów:

- I. 1967 — rok zabiegów i starań
- II. 1968 - 1970 — lata budowy
- III. 1970 - 1981 — okres zmaganiał pobudowlanych
- IV. 1982 - 1989 — stan wojenny
- V. 1990 - 1999 — stan odnowy
- VI. 2000 — stan obecny

ad. I. rok 1967

Na zapleczu Zamku Olsztyńskiego należącego do Muzeum Warmii i Mazur jest tzw. dolny dziedziniec, na którym wówczas (1967 r.) mieściła się mała baszta i przylegający do niej mурowany składzik, w którym dozorca muzealny hodował króliki. Natomiast na dość okazałym dziedzińcu (ok. 1000 m²) rośły chwasty, a w nich leżały zbędne opakowania od eksponatów muzealnych, różnego rodzaju odpady, zwałisko śmieci w którym buszowały szcury.

O ten właśnie zachwaszczony i zaśmiecony dziedziniec wraz z małą basztą i składzikiem Zarząd Okręgu ZPAP w dniu 10.03.1967 roku zwrócił się do władz o przekazanie na potrzeby Związku, informując o tym Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, Wydział Kultury UW, KW PZPR i Muzeum Warmii i Mazur.

Odpowiedź była pozytywna. Uzyskaliśmy też wszystkie niezbędne zezwolenia Architekta Miejskiego i Konserwatora Wojewódzkiego, który był głównym inwestorem siedziby.

ad. II. Lata budowy 1968 - 1970

Dokumentacja budowlana i rozwiązania architektoniczne zostały opracowane przez członków naszego Związku: Kol. Bo-

lesława Wolskiego, który jest jednocześnie architektem, absolwentem Politechniki Warszawskiej, oraz Kol. Eugeniusza Jan-kowskiego, architekta wnętrz. Dla zrealizowania tych zamierzeń, całe środowisko artystów plastyków, chociaż wówczas nieliczne (ok. 50 osób) podjęło uchwałę o dobro-wolnym opodatkowaniu się na rzecz budowy w wys. 2% od honorariów otrzymywanych poprzez PSP i ZPAP. Z funduszy tych opłacono m.in. dokumentację instalacji elektrycznej, zakupiono też niektóre przedmioty wyposażenia wnętrz. Należy podkreślić, że opodatkowanie było przedłużane i trwało przez kilka lat, a wszystkie zgromadzone, dość znaczne fundusze zostały wydatkowane na budowę siedziby.

Poza tym wiele prac wykonali społecznie sami członkowie ZPAP; np. wykopy, założenie drenów na dziedzińcu, malowanie, wykonanie przez rzeźbiarzy stołów, stołków, metaloplastykę oraz pełne wykonanie prac porządkowych na dziedzińcu i po budowie.

Finał był bardzo uroczysty i radosny.

W dniu 22 lipca 1970 roku nastąpiło formalne zakończenie prac budowlanych i przekazanie siedziby, zwanej też Domem Plastyka, Zarządowi Okręgu ZPAP w Olsztynie w użytkowanie.

Natomiast w dniu 13 października 1970 r. ówczesny I Sekretarz KW PZPR Białkowski, przeciął wstęgę i dokonał uroczystego otwarcia siedziby. Na uroczystość przybyli Wicewojewoda Olsztyński Walter Późny, Sekretarz KW Michał Ałtas, Konserwator Wojewódzki Lucjan Czubieli, Dyrektor Muzeum Warmii i Mazur Władysław Ogrodziński, przedstawiciele Wydziału Kultury UW, oraz Zarządu Głównego ZPAP Stefan Gierowski i Janusz Kaczmarek. Władze Okręgu ZPAP ufundowały i wręczyły Władzom Miasta medale pamiątkowe.

Dnia 10.09.1970 r. Wydział Budownictwa i Architektury Urzędu Miasta wydał Decyzję o pozwoleniu na użytkowanie obiektu przez Związek Polskich Artystów Plastyków w Olsztynie.

ad. III. Lata 1970 - 1981

Największym problemem stało się ogrzewanie siedziby. Nie można było się podłączyć do ogrzewania muzealnego za względu technicznych (znaczna różnica poziomów zabudowy obiektów). Nie można było ogrzewać tradycyjnie opałem koksowo-

-węglowym, bo to zagrażało zadymieniu za-bytkowych murów. Zainstalowane piece akumulacyjne ze względu na znaczny pobór energii powodowały spięcia i iskrzenie kabli elektrycznych w obiektach Muzeum. Zostaliśmy postawieni przed faktem, że należy przeprowadzić specjalny kabel energetyczny i to z dość znacznej odległości, od trafostacji znajdującej się na ulicy Wyzwolenia, o kilka ulic od siedziby ZPAP.

Były więc znowu zmagania, starania, nowe opodatkowania – w efekcie kabel położono, a szafkę energetyczną zainstalowano przy siedzibie ZPAP. Urządzenie to stało się własnością Zakładów Energetycznych, które dysponują nim do dzisiaj, a korzysta z niego też Muzeum, które zainstalowało reflektory dokoła Zamku, oświetlając nimi dziedziniec zamkowy, obsługując za pomocą tego urządzenia wszystkie imprezy odbywające się na głównym dziedzińcu Zamku, w tym np. Festiwal Poezji Śpiewanej. Należy zaznaczyć, że bez tego przez nas zainstalowanego kabla byłoby to niemożliwe.

Ponieważ ogrzewanie energią elektryczną było bardzo kosztowne, czyniliśmy starania o zezwolenie na ogrzewanie gazowe, które wydawane było wówczas tylko przez Ministerstwo Górnictwa i Energetyki. Zmagania o to zezwolenie i następnie starania o fundusze na zakup pieców i wykonanie instalacji trwały 4 lata. Realizacja nastąpiła wreszcie w 1980 roku.

Poza sprawami związanymi z przystosowaniem siedziby i galerii ZPAP do warunków używalności od 1970 do 1983 r. (do chwili rozwiązania ZPAP) wszystkie kolejne Zarządy czyniły starania u władz o określenie sposobu jego użytkowania i o przekazanie w wieczyste użytkowanie.

Jednak Muzeum nie mogło nam przekazać tej nieruchomości, bo nie było właścicielem ani wieczystym użytkownikiem.

Zdaniem Wydziału Kultury UW i Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków przekazania powinien dokonać Wydział Architektury Urzędu Miasta, który wydał decyzję o lokalizacji i zezwolenia na budowę. PMRN uważało, że są to obiekty zabytkowe, które podlegają Wydziałowi Kultury UW, który wyraził zgodę na przekazanie posesji zabytkowych dla ZPAP. Kółko nam się zamknęło, ale by go otworzyć zabrakło nam czasu, bo ogłoszono stan wojenny.

ad. IV. Okres stanu wojennego 1983 - 1989

W tym okresie Dom Plastyka miał dwóch użytkowników: nowopowstały Związek Polskich Artystów Malarzy i Grafików, natomiast galeria została przekazana pod zarząd Biura Wystaw Artystycznych. Po reaktywowaniu ZPAP, ZPAMIg dobrowolnie rozwiązał się przekazując siedzibę prawnym właścicielom.

ad. V. Okres 1990 - 1999

Po wyborach nowego Zarządu Okręgu zaraz przystąpiono do załatwiania sprawy Domu Plastyka w Olsztynie.

Już dnia 4.06.1990 r. wystosowane zostało pismo do Wydziału Kultury UW i Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków o przekazanie w wieczyste użytkowanie siedziby ZPAP, na co otrzymaliśmy postanowienie wyrażające zgodę. Nie przewidywaliśmy jednak ostrego sprzeciwu Dyrekcji Muzeum.

Jak potwierdzają akta z okresu przed stanem wojennym Dyrekcja Muzeum była bieżąco informowana o naszych zamierzeniach i nie protestowała, kiedy władze oficjalnie wydały zezwolenie i przekazały teren na budowę siedziby ZPAP. Wręcz przeciwnie, na otwarciu siedziby w dniu 13 października 1970 r. Dyrektor wyraził swoje uznanie i aprobatę stwierdzając, że ten piękny obiekt, w tym Galeria, ma wielkie znaczenie nie tylko dla miasta, ale i dla zwiedzających Muzeum Warmii i Mazur.

Należy nadmienić, że od 1990 r. nastąpiła zmiana na stanowisku dyrektora Muzeum ale nie przypuszczaliśmy, że wraz ze zmianą osoby zmieni się tak radykalnie stanowienie do ZPAP. Mimo pozytywnych postanowień władz, stanowisko Dyrekcji było niezmiennie. Napotykał się na uporczywy protest Dyrektora Muzeum. W rezultacie postanowiono zawiesić postępowanie do czasu zakończenia prac związanych z inwentaryzacją mienia komunalnego.

Odwwołanie nasze do Kolegium Odwoławczego przy Sejmiku zakończyło się też potwierdzeniem, że należy zacząć na zakończenie inwentaryzacji. W tej sytuacji Zarząd zwrócił się do Wojewody Olsztyńskiego jako przedstawiciela własności Skarbu Państwa. W odpowiedzi Wojewoda pismem swym skierowanym do Muzeum i ZPAP, zdecydował o nieodpłatnym przekazaniu przez Muzeum

dla naszego Związku Domu Plastyka w użytkowanie na czas nieokreślony. Uzupełnieniem tego dokumentu jest pismo Muzeum wraz z załączoną Umową, która została zawarta między ZPAP a Muzeum.

W oczekiwaniu na zakończenie inwentaryzacji dnia 20.03.1996 r. Dyrekcja Muzeum powiadomiła nas, że Sąd Rejonowy w dniu 28.12.1995 r. wydał postanowienie o przekazaniu w użytkowanie wieczyste do 27.05.2094 r. zespołu zamkowego dla Muzeum Warmii i Mazur, w tym siedziby ZPAP (baszty i budynku galerii).

Nie wiemy, dlaczego nie zostaliśmy powiadomieni o toczącej się sprawie w odpowiednim terminie, a dopiero kilka miesięcy po wydaniu postanowienia.

ad. VI. Rok 2000 stan obecny

Sytuacja naszej siedziby wygląda następująco.

Muzeum otrzymało cały zespół zamkowy w wieczyste użytkowanie do 2094 roku. Natomiast Wojewoda jako przedstawiciel własności skarbu państwa, wydał polecenie Dyrekcji Muzeum o przekazanie Galerii, biura i baszty, wchodzących w skład Domu Plastyka w Olsztynie, dla Związku Polskich Artystów Plastyków. Wyjaśniamy, że Zarząd Okręgu ZPAP wybierając lokalizację pod budowę siedziby przeprowadził konsultacje z władzami Wydziału Kultury UW, z Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków, a później z Muzeum i wspólnie zdecydowano, że Dom Plastyka, w tym Galeria ZPAP winna być na tzw. zabytkowym szlaku Starego Miasta – XIV w. Katedra, Zamek, fosa, amfiteatr, zabytkowe mury, park, a przy tym Galeria Sztuki Współczesnej i na dziedzińcu przy siedzibie ZPAP, ekspozycja rzeźby plenerowej.

Kiedy po tych ustaleniach czyniliśmy starania o lokalizację i przez 4 lata prowadziliśmy budowę, Dyrekcja Muzeum nie tylko zaakceptowała ten fakt, ale wyrażała też uznanie, że dzięki tym działaniom zniknie śmietnisko i powstanie oryginalny i bardzo użyteczny obiekt.

Niepokoją nas pewne fakty związane z tą sprawą, takie jak:

- nie poinformowanie ZO ZPAP o prowadzonej sprawie sądowej dotyczącej przekazania zespołu zamkowego Muzeum Warmii i Mazur w wieczyste posiadanie i o terminie przysługującym na odwołanie,

- rozpowszechnianie wieści, że siedzibę ZPAP wybudowało Muzeum z własnych funduszy, co wobec faktów nie jest zgodne z prawdą.

Istnieją jeszcze inne zagrożenia, a mianowicie brak funduszy na konieczny remont już 30-letniej siedziby. Najpilniejszą potrzebą jest kapitalny remont dachu w Galerii oraz wymiana pieców i instalacji centralnego ogrzewania na gaz. Własnych funduszy nie posiadamy, a zamożnych i chętnych sponsorów w Olsztynie nie ma. Zarząd Główny ZPAP, jak wiemy, nie jest zainteresowany małymi Okręgami tym bardziej, że nie mamy uregulowanego prawa własności.

Olsztyn dn. 30 maja 2000 roku

Działalność Galerii ZPAP w okresie od lipca 1970 do chwili obecnej

Ze względów historycznych i politycznych należy podzielić 30 lat istnienia galerii na następujące okresy:

- I. 1970 do 1982
- II. 1883 do 1989
- III. 1990 – chwila obecna

ad. I

W okresie tym w Galerii:

a. Zorganizowano 62 wystawy prezentując wszystkie dyscypliny plastyczne. Były to wystawy indywidualne i zbiorowe, z udziałem artystów olsztyńskich i z innych okręgów oraz z zagranicy.

b. Zorganizowano 6 konkursów, na szczególne podkreślenie zasługują 3 kolejne konkursy pod nazwą „Mikołaj Kopernik i jego idea”, zorganizowane w latach 1970 – 72 z okazji obchodów rocznicy kopernikańskiej. W konkursach tych uczestniczyli, oprócz członków naszego okręgu także artyści z województw Polski północnej – białostockiego, gdańskiego, bydgoskiego.

c. Zorganizowano 21 plenerów. Plenery organizowane były od 1971 roku pod nazwą: Międzynarodowy Plener Malarski „Warmia Ziemia Kopernika”. Brało w nim udział wielu zagranicznych artystów. Plenerom to-

warzyszyły sympozja na tematy związane z obchodami rocznicy kopernikańskiej.

Wszystkie sympozja, spotkania uczestników plenerów jak i wystawy poplenerowe odbywały się w Galerii ZPAP.

Efektom tych plenerów było pozostawienie przez uczestników pokaznego zbioru prac, które pokazywane były w Muzeum we Fromborku, podczas obchodów uroczystości kopernikańskich. W tym czasie została wykonana przez uczestnika pleneru Kean Marie Bechet rzeźba w piaskowcu, która stoi do dzisiaj przed siedzibą ZPAP.

Po pierwszym plenerze powstała monumentalna realizacja w Olsztyńskim Planetarium, dzieło Stefana Knappa z Anglii, ponadto w oknach jednej z sal olsztyńskiego Zamku zostały osadzone barwne witraże wykonane przez Maję Świeżawską Rockplo z Francji, natomiast artyści z ZSRR przekazali miastu zestaw prac malarskich i graficznych.

d. W latach 1975 – 80 Zarząd Okręgu ZPAP było organizatorem Konkursu „O Medal Prezydenta” – wystawy pokonkursowe były pokazywane w BWA, ale wiele prac przygotowawczych prowadzonych było w galerii ZPAP.

e. 1979 roku z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka obyla się, jako jedna z pierwszych w kraju, aukcja dzieł sztuki na rzecz Domu Dziecka w Olsztynie. W aukcji wzięło udział 21 olsztyńskich artystów. Za uzyskane fundusze zakupiono sprzęt, natomiast niesprzedane prace stanowią zaczętek Galerii Sztuki PDD im. Janusz Korczaka w Olsztynie.

f. Poza imprezami artystycznymi w pomieszczeniu Galerii odbyło się szereg spotkań, sympozjów, imprez okolicznościowych z okazji Dnia Kobiet, Dnia Dziecka, noworoczne Choinki, zabawy Sylwestrowe, obchody Nocy Świętojańskiej, bale kostiumowe i niektóre imprezy Festiwalu Poezji Śpiewanej.

ad. II

Jest to okres, w którym ZPAP przestało istnieć, a siedziba i galeria zostały decyzją ówczesnych władz przekazane we władanie Dyrekcji BWA w Olsztynie, będącego głównym użytkownikiem, natomiast nowopowstały ZPAMiG był tylko najemcą biurowych pomieszczeń.

W tym czasie działalność wystawienniczą w Galerii prowadziło BWA.

Po reaktywowaniu ZPAP w 1990 roku, Prezes ZPAMiG, Andrzej Samulowski, podał siebie i cały zarząd do dymisji i przekazał zajmowane pomieszczenie biurowe dla ZPAP, natomiast Dyrekcja BWA dopiero po interwencjach Zarządu Okręgu ZPAP u władz miasta przekazała protokularnie 18.12.1991 roku obiekt Dyrekcji Muzeum. Na polecenie Wojewody Olsztyńskiego z dnia 10.03.1992 roku siedziba, w tym i galeria, powróciły we władanie Okręgu Olsztyńskiego ZPAP.

ad. III

Od momentu odzyskania Galerii przez ZPAP do chwili obecnej odbyło się 76 wystaw, 4 wystawy poplenerowe, oraz wiele imprez okolicznościowych — takich jak promocje, bale sylwestrowe i karnawałowe, zabawy dla dzieci, zabawy walentynkowe, obchody Nocy Świętojańskiej. Galeria służy także plastynom do spotkań środowiskowych, tutaj przyjmowani są specjalni goście.

Z powodu niedofinansowania Związku działalność Galerii prowadzona jest ze skromnych środków Zarządu Okręgu opierając się przede wszystkim na pracy społecznej członków zarządu, pracowników biura i wystawiających artystów. Pomieszczenie wymaga remontu. Potrzebne jest zakupienie nowego wyposażenia i zatrudnienie stałej obsługi, aby można było udostępnić Galerię zwiedzającym przez wszystkie dni tygodnia.

Olsztyn dn. 10 lipca 2000 roku.

*Raporty sporządziła:
Wanda Radziemska
Kierownik Biura
ZO ZPAP w Olsztynie*



Jolanta
Śmielska-Koszczuk
10-118 Olsztyn
ul. 1-go Maja 16
tel./fax (0-89) 527 51 43

Galeria sztuki
profesjonalnej

Sklep
z zaopatrzeniem
dla artystów
plastyków,
architektów
i biur

10% rabatu
dla członków
ZPAP

Otwarte:
od poniedziałku do piątku
10.00 - 18.00
w soboty
10.00 - 14.00



**GALERIA
SZTUKI**

Teresa Zybort
Olsztyn, ul. Staromiejska 1
tel. (0-89) 527 21 87

●
SZTUKA
PROFESJONALNA

●
MALARSTWO

**GRAFIKA
WARSZTATOWA**

RZEŹBA

CERAMIKA

●
Czynna codziennie
od godz. 11.00 do 17.00
w soboty
od 11.00 do 14.00
w niedziele
nieczynna



**kompletne
realizacje
poligraficzne**

●
**druk cyfrowy do
niskich nakładów
(foldery,
zaproszenia,
itp.)**

●
**profesjonalne
studio fotografii
cyfrowej**

●
**skanowanie,
rozbarwienia**

●
**przygotowanie
powierzonych
prac do druku**

**10-443 Olsztyn
ul. Kołobrzeska 8
tel. (089) 534 45 55
tel./fax (089) 534 31 48**

Wydawca:
**Zarząd Okręgu w Olsztynie
Związku Polskich
Artystów Plastyków**
ul. Zamkowa 2a, 10-074 Olsztyn
tel. (0-89) 527 31 77

Redakcja, opracowanie graficzne i DTP:
Adam Kurlowicz
tel (0-89) 526 02 04
e-mail: biuletyn@jadesign.rubikon.pl

Współpraca redakcyjna:
Krzysztof Janicki, Marek Kłos, Julita
Wienc

Autorzy: *wypowiedzi* — Eugeniusz Jan-
kowski, Edward Jurjewicz, Wiesław
Kaczmarek, Bolesław Marschall, Wan-
da Radziemska, Andrzej Samulowski,
Maria Szymańska, Bolesław Wolski;
teksty — Marek Kłos, Wanda Radziem-
ska; *zdjęcia w numerze* — autorzy nie-
zidentyfikowani.

Na okładce:
Medal pamiątkowy wydany z okazji
otwarcia siedziby Zarządu Okręgu
ZPAP w Olsztynie, 1970 rok, autorka
projektu i fundatorka medalu:
Barbara Lis-Romańczuk

Druk: Zakład Poligraficzny OSTGRAF
ul. Czarnieckiego 21/12, 14-100 Ostróda
tel./fax (0-89) 646 78 91

Egzemplarz bezpłatny dla członków ZPAP

Numer zamknięto: 26.07.2000

*Serdecznie dziękuję wszystkim moim roz-
mówcom za cierpliwość i ochotę współ-
pracę przy przygotowaniu tego numeru.
Z pewnością lista osób zasłużonych dla
ZPAP, które powinny się w tym numerze
Biuletynu znaleźć, jest większa, jednak
nie udało mi się do wszystkich dotrzeć,
a do niektórych dotrzeć się już nie da, po-
niważ już ich wśród nas nie ma.
Czas szybko zaciera ślady wydarzeń i jeże-
li chce się coś z tego uratować, trzeba się
spieszyć.*

Adam Kurlowicz